CENA 20 ZŁ

W numerze: Anna Kowalska, Jan Baranowicz

Odra
tygodnik

CZYTELNIK — WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 28 (137) — KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 11 LIPCA 1948 ROKU — ROK IV

WŁADYSŁAW BODNICKI

Odejścia

Fragment powieści o Piastach Opolskich p. t. „Ostatnia gwiazda"

Machna ma znowu rodzić. U łoża siostry czuwa Elżka, ona ma dać znać na dwór ojcowski, że można zjechać do Toszku, aby święcić uroczystość przyjścia na świat nowej latorośli piastowskiej. Jest to w rodzie wydarzenie dużej wagi i na stołbie opolskim od kilku dni mówi się tylko o tym, czy będzie to chłopiec czy dziewczyna.

Ludka drażni to roztrząsanie. Boi się o siostrę. Taka była przeźroczysta, jak opłatek, gdy ją widział przed tygodniem... Ale matka, której zwierzył się z obaw, ofuknęła go:

— Nie mężczyńska to rzecz myśleć o porodach, westchnij najlepiej do Pana Boga, iżby był syn i żeby się zdrowo chował.

Mówiła ostro, ale chciało jej się śmiać, że Ludek jest tym tak przejęty, jakby to chodziło o jego dziecko.

— Będzie z niego dobry towarzysz dla niewiastki, powinna mi być wdzięczna dziewka, która go dostanie, za to, iżem go tak jej ukształtowała.

Nie, Ludek nie może się zdobyć na modlitwę o syna dla Przemka, modli się za to o zdrowie dla Machny. Prosi o to żarliwie, gdyż pełen jest jakowychś złych przeczuć...

Zasłyszał coś niecoś o bólach porodowych i od wczoraj tak go samego boli czczew, że zda mu się, ból ten rozerwie łono. Zaciska zęby, ucieka w ustronne kąty aby móc wyjęczeć się swobodnie.

Zwłaszcza ta noc ze św. Marka na św. Kletę jest dlań straszna. Bóle targają nim aż zimny pot występuje na skronie, a raz po raz czuje taki brak oddechu, że otwiera szeroko usta i łyka powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg.

Dopiero kiedy straż na murach obwieszcza jutrznię, zapada w sen,



Rys. Marian Wyrożemski

ale tak ciężki, że na jego progu pewny jest, że przechodzi próg wieczności. W jakiś czas potem budzi się i zrywa raptownie z leżącka, bo zdało mu się przez sen, że poczuł na twarzy pieszczotliwe dotknięcie ręki Machny. Naturalnie śniło mu się tylko, a zbudziło go słońce, które właśnie zagląda mu do oczu, jakby nie miało nic lepszego do roboty, tylko przekonać się, jakie też oczy ma Ludek, syn księcia Mikołaja na Opolu.

— Może są już wieści? — Ubrał się szybko i pospieszył na pokoje rodzicielskie.

— Nie. Trza cierpliwie czekać.

— Możebym tak sypnął się do Toszku? — ośmiela się zaproponować.

— Potrza tam jeszcze ciebie — słyszy odpowiedź.

Poszedł więc na wieżę i wypatruje posłańca od strony Toszku. Raz po raz spotyka go rozczarowanie. To, co z daleka brał za konnego, raz okazuje się krową, drugi raz dalekim wędrowcem, poza tym droga bita pusta, jakby wymieciona.

Czas, który stał zda się w miejscu, w rzeczywistości odbył już swą połowę dziennej drogi, jak na to wskazywał zegar słoneczny.

Przywołany, schodzi Ludek na południowy posiłek.

Potrawy, mimo że fajnowne, zaledwie tknięte idą na stół niższy. Mimo to, książę długo nie daje znaku do powstania od stołów. W napięciu oczekiwania dochodzi ich wyraźnie skrzyp na moście pod oknami. Pewność, że przybywa posłaniec. Słyszą go wszyscy, ale zapewne, aby nie okazać swojej niecierpliwości, książę, jak gdyby nigdy nic, wszczyna rozmowę z kapelanem.

Ludek jest nawet za to wdzięczny ojcu, gdyż czuje się nagle ogarnięty taką niemocą, iż pewnym jest, że nie utrzymałby się na nogach. Oczy wszystkich utkwione są w dźwierze.

Naprawdę zbyt długo trzeba czekać, aż staje w nich — Elżka. Oczy ma czerwone jak królik, zapuchłe od łez, nos obrzękły, jak dula, spękane gorączką wargi. Zbliża się do pańskiego stołu na podwyższeniu, unikając czyjegokolwiek wzroku.

Nie potrzeba pytać, żeby domyślić się najgorszego.

Książę nie wytrzymał:

— Znowuż pomiotek?

W ciszy, jaka panuje, pytanie wydaje się głośne, jak krzyk.

Natomiast Elżka, tłumiąc łkanie, odpowiedziała nie otwierając ust, ledwie dosłyszalnie, jak westchnienie:

— Umarła.

— Więc znowu córka?! — warknął niezadowolony książę.

Wtedy Elżka, głosem zanoszącym się od łkania, nienaturalnie wysokim, zapiała, jak kogut:

— Machna, Machna umarła!

Książę poderwał się od stołu tak gwałtownie, że aż część naczynia spadła na ziemię. Równocześnie zerwał się Ludek i chciał wybiec z sali, bo uczuł, jak urywa mu się coś we wnętrznościach i podchodzi aż do gardła. Zdołał dobiec tylko do połowy sali i tu zwrócił wszystko co zjadł. Stał nad tym ogłupiały, patrząc wytrzeszczonymi oczyma i nie widząc, aż go ujęła pod rękę, odprowadzając od tego miejsca, Elżka.

Coś do niego mówi. Widząc, że nie zrozumiał, powtarza:

— Kazała ci powiedzieć, iżbyś nie płakał, że będzie przy tobie zawsze...

Oprzytomniał, wydarł się, wypadł z komnaty. Nikt go nie zatrzymywał, bo każdy był pogrążony w swojej żałości.

Biegł przez pokoje, przez korytarze i ganki, skakał przez schody, wybiegł za wrota, pędził, pędził przed siebie, aż wody Odry stanęły mu w poprzek drogi.

Upadł twarzą na mokry piasek. Ręce przyłożył do skroni, cisnąc, bo zda się, że głowa pęknie. Tysiąc przeganiających jedna drugą myśli rozsadza ją.

— Machna... najukochańsza siostrzyczka umarła. Umarła! Umarła?

Można to słowo — umarła — powtarzać bez końca a nigdy nie wyczerpie się jego wielorakiej kamiennie ciężkiej treści.

— Nakryją ją grubsztynem i już nigda jej nie ujrzy, nigda nie usłyszy... Umarła... ale Ludek wie, że na tym nie kończy się jej męka, że trup i w grobie wiele przeżywa.

Ileż to przejdzie dni i nocy zanim truchła zacznie się w proch rozsypywać? Jeśli dusza musi przejść czyściec, to i dla ciała jest czyściec. Nie czyściec, piekło, przez które każde przejść musi, zanim robaki wyżrą oczy, zanim powolne gnicie nie rozejdzie się kawałek po kawałku, nie obejmie, nie przetrawi całego...

Tak, oczy muszą pocierpieć za pożądliwość, usta za grzechy łakomstwa i pijaństwa, język za to co zgrzeszył mową, za nieskromne, za kłamliwe, za niepohamowane słowa, każda część ciała za coś innego. Może te, którymi się mniej grzeszyło, mniej cierpią?...

A on przez te dni i noce, kiedy po niej będą nikły wszelkie ślady istnienia, on będzie też odchodził od niej, coraz dalej, aż w końcu zapomni barwę jej oczu, rysów twarzy, dźwięku głosu...

Jest w tym zapominaniu ludzkim coś tak podłego, że Ludek zaczyna czuć pogardę dla siebie samego, wstydzić się tego, że mógł przetrzymać wiadomość o jej śmierci, że jeszcze żyje.

Umarła a słońce świeci, a woda płynie. Ta sama woda, która znała ich malutkimi. Jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby nie miała nastać w świecie po jej ubytku jakaś straszna próżnia...

Nigdy już nie ujmą się za ręce, nie będą szli przed siebie polem, łąką, gajem. Nigdy już nie odejmie jedno drugiemu trochę ciężaru z serca... On nie powie jej już tego, czego nie zdążył, nie zdążył powiedzieć, chociaż żyli przez tyle lat razem obok siebie... Powiedzieć o tym, że była w jego życiu wszystkiem, że kocha ją, jak nikogo innego... Nie powiedział jej tego i Machna nigdy już o tym się nie dowie... Ona też nie pogłaszcze go już, nie pocałuje, nie powie coś takiego, od czego ból, zmartwienie, niepowodzenie maleje od razu do połowy, bo tę drugą połowę ona brała na siebie. Nie było nigdy pomiędzy nimi dwojności. Jakże był głupi dopotąd, gdy myślał, że jest nieszczęsny, a miał Machnę i mógł co wieczór zasypiać w szczęściu pewności. że w każdy następny dzień może ją zobaczyć...

Dotąd miał oczy suche, paliły go jeno od niewypłakanych łez, które ściskały mu gardło, rozrywały pierś. Dopiero teraz, kiedy zaczął się użalać nad sobą samym, łzy popłynęły całym nawałem. Łkał rozpaczliwie, rzęził...

Znużony płaczem, wyczerpany, krótkimi i głośnymi oddechami, wydycha z siebie rozpacz. Zapada w stan pół snu, pół świadomości. Oto Machna staje przy nim i mówi łagodnie, z wyrozumiałem uśmiechem:

— Ludku, pocz ta żałość, pożyjesz rok, dwa, trzy, potem i ty umrzesz. Będziesz miał, jako ja, noc wśród powiek i to wszystko... Patrz, padają płatki jabłoniowe, niechaj one osuszą twoje łzy dziecińskie...

Ale Ludek zrywa się gwałtownie i krzyczy:

— Pozwól mi cirpieć! Chcę cirpieć! Gdybym nie cirpiał, był bym daleko od ciebie. Obmierzło mi słońce, miesiąc, gwiazdy i kwiaty, odkąd ty ich nie widzisz. Wiem, idzie noc, a po niej nastanie dzień, ale ja nie chcę dnia, chcę, żeby była odtąd już tylko czarna noc bez gwiazd i bez miesiąca. Każda noc zbliża mnie do ciebie, ale ja sprawię, iżby mnie zbliżał i dzień każdy. Z dniem każdym chcę nie zapominać ale być coraz samotniejszy... Machno... zrozumże mój ból Machno, ty, która przepadasz dla mnie. Czyliż Bóg nie pomylił się, kiedy cię zabrał a mnie zostawił? Pocóże posyłał nas na świat w jednej godzinie, razem? Przecz rozdziela tera to, co złączył? Jest w tym może myśl jakowaś, ale myśl nielutościwa! Oskarżam cię Panie Boże o to, iże nas tak barzo miłujesz i tak barzo nienawidzisz, że aże stworzyłeś cosi tak okropnego, jak śmierć.

Wołał w głos. Jakiś rybak, którymu wypadła tamtędy droga, zląkł się go i uciekł, ale po kilku krokach wyjrzał za nim z za drzewa i widział, jak ten rękami dotykał nieba, chowierząc w górę ramionami, oddalał się w noc. Wyglądało, jakby zrywał gwiazdy.

— — — — — —

Drugi grom wali w księcia. Elżka rzuca się mu do nóg i prosi:

— Zwólcie mi panie oćcze iść do klasztoru.

— Cooo?

— Bądź autorem mojego szczęścia.

— Szczęścia? Kto mówi o szczęściu dzisia, kiedy dopirko umarła Machna?

— Ślubiłam to Bogu.

— Elżka! Ślubiłaś?

— Tak.

— Czemużeś to zrobiła? Miałaś być grusztem mojego rodu.

— Nie chcę, iżby jakikolwiek mąż nadużywał na mnie swojego mężostwa.

— Dobrze... Pomówimy o tym za czasem.

— Chcę bez bawy iść do klasztoru. Jutrze.

— Oszalałaś? Coś taka biegliwa?

— Ślubiłam. Nie lubi się Bogu niewierna obietnica...

— Matko, słyszysz? Mam moją starszą w czerńce dać! Dopokąd ja żyję — nie!

— Mamże tyli czas blakować?

— Nie dam ci blakować. Córce Mikołaja na Opolu o męża nie trudno będzie.

Tu Elżka rzuca się do nóg matce i dalejże lańdzić, aby prosiła za nią.

Matka głosem łamiącym się, pełnym łez, wypytuje:

— Czemużeś to ślubiła Elżko? Nie dziwowałabym się gdyby to Ludek, bo z nią bliźniec był, ale ty? Chęznaj twoje chcącki.

— Pani matko, jeśli i mnie nie chcesz widzieć na marach nie przeciwiaj się woli mojej.

— Potom ja was na świat wydała!... biednaż ja biedna, w jeden dzień dwoje dzieci tracę... — amerykując rwie księżna Magdalena włosy z głowy, kaleczy drażnięta. Dzieci, widząc matkę tak rozpaczającą, wybuchają głośnym płaczem. Czepiają się jej sukni i rąk, ale ona wyciąga te ręce tylko do tego jednego dziecka, które ma znowu utracić.

— Córo, mniej lutość nade mną i nad sobą samą. Kiedy przewiążą ci czoło bindalem, zapóźno będzie na żale... nie wróci ci się już dobro, które odtrącasz...

— Czemuż pani matko płaczesz, iże porzucam doczesne dobro a idę ku wieczemu? — Lepak wam cieszyć się przystało...

— Łachnie to mołwić... — podjął książę.

— Ślubiłam.

— Ślubiłaś w nadmiernym żalu, każdy kapłan cię z tego ślubu zwolni.

— Kapłan — może, ale Bóg?

— Ufunduję tu lub w Nysie kościół, pod wezwaniem św. Elżbiety twojej patronki. Ta wyjedna i u Boga zwolnienie z tego ślubu.

— Nie targuj się panie oćcze o moją duszę z Panem Bogiem, bo ją gotowyś zgubić... Nie zwolisz mi wstąpić do klasztoru św. Klary we Wrocławiu, gdzie już stryjna Elżbieta i Anna służą Bogu, to jak mnie tu widzisz, śmierć sobie zadam. Nie upilnujesz mnie.

— Mów, co ci ta Machna zadała? Można się domnimać co najgorszego. Nigda przeca dotąd nie czułaś powołania...

— Nigda matko niewiadomo kiegdy zbudzi się powołanie... Zostawmy Machnę w spokoju, raczej się nam modlić do niej, bo to ona, jak te święte męczenice żyła bez te lata małżeńskie... a ja obstaję przy swojem.

— Cóże, nie pytałaś mnie gdyś ślubiła, nie słuchasz matki, grozisz, dziej się dale wola twoja...

Pod ciężarem słów, które wypowiada, garbi się książę Mikołaj.

Elżka obejmuje go za kolana, całuje.

— Przecie jeszcze mnie nie żegnaj — broni się książę, panując ostatkiem sił nad głośną rozpaczą.

— Owszeją panie oćcze, pozwólcie się pożegnać, bo jutrze przy dniowi chcę wyjść z domu.

— Jakoże to?... Nie będziesz nawet na pochówku Machny?

— Jużem ją dzisia pożegnała i pochowała w sercu. Więcej i lepiej jak modły swymi uczcić jej już nie poradzę.

— Dobrze zatem... Niechże się to raz skończy, bo obłędnieć mi przyjdzie, porówno od tej śmierci, jak też od tego niebeźrzałego ślubowania... Jadę do Toszku. A ty matko, nagotuj jej wiano naroczyste, żeby ochędożnie wyglądała.

— Nic mi nie potrza, chyba jedno, pozwolicie mi zabrać mój patryk...

— Nie potrza, a ja mówię, że potrza! — uniósł się książę. — Taka jest moja wola i tej nie cofnę. Po egzekwiach przyjadę do przeoryszy i wydankuję cię. Całe trzy tysiące dukatów, tyle samo co dostała Machna. Niech będzie u panien Klarysek wiadomo, iże weszła doń córa książęcia...

— Niech wam to, panie oćcze, w niebie będzie odpłatne.

Jeszcze raz upadła mu do nóg. Stał okamiały, nakreślił tylko nad nią znak krzyża świętego i wyszedł. Już z za progu cofnął się i dorzucił:

— Wyznaczam ci na postróżcę w drodze Mrzygłoda i pięciu konnych, bo kraj nie jest wolny od „żebraków".

Teraz przypadły do niej młodsze siostry:

— Elżka! Elżka! — kwiliły, jak ptaszęta.

Elżka wie, jak złagodzić ich smutek, ściąga z ręki manele i wkłada je Katrynce, ściąga z głowy pętlik naszywany perłami i przybiera nim Magdalenkę. Obie są jeszcze zbyt zielone, żeby nie można było byle czym osuszyć ich łez.

Chwilę zastanawia się, coby tu podarować braciom.

— Ty Niko weźmij sobie mojego karego, bacz jeno, żeby cię nie poślapił, bo narowisty i przywykł do mnie. A dla ciebie Jaszko, jak w sam raz będą moje dwa charty.

Niespodziewanie natrafiła na opór Nika. Powtarza uporczywie:

— Nie chcę! Nie chcę!

— Nie chcesz karego to może wolisz sokoła? Możesz go sobie wziąć na przydatek.

— Nie chcę sokoła...

— A czego ty chcesz?

— Chcę, iżbyś została doma...

— Czemu?

— Bo cię miłują.

Elżka wzdycha i trzyma go w objęciach dłużej niż tamtych z rodzeństwa. Taki miły chłopiec z tego Nika, aż lipie do niego...

Wnet się jednak opanowuje. Nie ma czasu na przydługie czułości. Ma pożegnać jeszcze i dwornych i sługi i bydło i dom cały i okolicę... Długo trwa takie żegnanie.

Był już podkurek, kiedy szła żegnać wodę, co pod dworem płynęła. Nie patrzała pod nogi i potknęła się na czymś. Byłaby upadła. Jakżesz się zdumiała, gdy to, co w pierwszej chwili, brała za kamień, okazało się Ludkiem.

Coś z kamienia jest teraz w Ludku. Ból jego przeszedł punkt szczytowy, naznaczony przez naturę i znalazł się po drugiej stronie cierpienia. W stanie zupełnego zobojętnienia, kamiennego bezczucia.

Elżka zlękła się, że nie żyje. (Liga na ziemi, nie rucha się choć nim trącać, oczy ma szeroko otwarte ale ani nimi zamruga.)

Mimo, że to jedna z ostatnich kwietniowych nocy, ale od ziemi i wody ciągnie jeszcze zimowy ziąb, który sprawił, że i Ludek jest zimny, jak głaz. Zmusiła go



Rys. Marian Wyrożemski

przecież aby powstał i usiadł z nią, na nie wykarczowanym pniu i przez chwilę chucha na jego ręce, aby zgrabiałe rozgrzać.

Pewna jest przy tym, że takiej samej rozgrzewki potrzebuje jego serce i dusza. I wydaje się jej, że jedynie mowa o zmarłej, z którą tak się miłował Ludek, może to sprawić. Więc cichutko, jak zwierzenie, mówi:

— O takiej, jak ta godzina zbyła ducha...

— O takiej jak ta... — powtarza Ludek i ogląda się w koło, aby zapamiętać, jak wygląda świat w porze, w której umarła Machna.

— Do końca pamiętała i mówiła o tobie... Nawet kiedy już nikogo nie poznawała, ostatnie zrozumiałe jej słowa to — miłujcie Ludka! (Te słowa będą miały zawsze siłę wywołać łzy, po ilekroć je wspomni Ludek.)

— Elżko — żali się — jakoż ja będę mógł żyć?...

A gdy nie odpowiada, pyta znowu:

— Pamiętasz ty dzieje Tristana i Izoldy Jasnowłosej, które raz na dworze mówił wędrowny wagant?

— Czemu o to pytasz tera? — dziwi się Elżka.

— Bo gdy Tristan umarł, Izolda pomodliła się Bogu, ułożyła się przy nim, ucałowała usta i twarz i obłapiła go ciasno, ciało przy ciele, usta przy ustach. I tak oddała duszę, umarła przy nim, z boleści po miłym przyjacielu... A jeśli Pan Bóg dozwolił, w miłosierdziu swoim, iżby grzeszna, cielestna miłość, miała mocy do tyla, to przecie i naszej, nie cielestnej, nie grzesznej, powinien porówno przyjąć. Jak myślisz, czy gdybym ja to samo uczynił, potrafiłbym zamrzeć?...

— Myślę bracie, że to są tylko bajędy trubadurów a wagantów, ze znanych ludzi tu w koło, nie słyszano o takim, coby z miłości pomarł.

— Bo widzisz, może nie umieli miłować...

— Niechaj tych myśli. Pytasz, to powiem ci, zawsze możesz umrzeć dla świata.

— Naprawdę? Jakimże sposobem?

— Tak, jako ja... Ledwa wstanie słońce, jadę do Wrocławia, wstępuję do nowicjatu sióstr Klarysek.

Po dłuższym namyśle Ludwik mówi stanowczo:

— Nie, ja tego nie uczynię — i dodaje — jedna tylko Machna zrozumiała by czemu nie chcę tego.

Elżka czuje urazę do brata. Zrobiła wszystko, aby okazać mu serce, a on odmawia jej możności zrozumienia tego, dlaczego odrzuca życie klasztorne. I to do tego jej, która to życie obiera. Wstaje więc i obojętniej niż do innych z rodzeństwa mówi:

— Bądź zdrów Ludku, Bóg z tobą.

— Zdrów? Lepiejbyś mi życzyła choroby.

Elżka i teraz jest poważnie zdziwiona i zgorszona, że on pamięta tylko o sobie, a nie pamięta o niej, z którą winien się pożegnać bez mała tak, jak z Machną bo i ona odchodzi poza furtkę życia. Dlatego to mentorskim tonem, upomina go:

— Dwór cały o sekście jedzie do Toszku, radzę ci iść ze mną, ogarnąć się...

Prawda... dwór cały... będzie tam cały dwór opolski i toszkowski, jakoż przyjdzie mu żegnać Machnę wobec całego dworu?...

Że też nie był tam nocą... Nie tu, ale tam, przy niej, było jego miejsce... Może Machna czekała go?... Znowu ją zawiódł...

— Gorze, gorze mi nieszczęsnem!

Władysław Bodnicki.

AMELIA ŁĄCZYŃSKA

Biskupin

najcenniejszy i najpożytniejszy dokument kultury łużyckiej

Jeden z członków wycieczki literatów jugosłowiańskich, zwiedzających Polskę ubiegłej jesieni, na zapytanie moje co go w Polsce najbardziej zainteresowało, odpowiedział bez wahania: Biskupin. Morze, porty, fabryki, muzea są w Jugosławii także, ale Biskupina nie ma. Na wszystkich członków wycieczki wyrwał niezatarte wrażenie i z tym wspomnieniem opuszczali Polskę.

Biskupin jest na obszarze Europy jedynym w całości odkrywanym grodem obronnym drewnianej konstrukcji, epoki wczesnożelaznej z VII i VI wieku przed Chrystusem. Trzeba to sobie dobrze uzmysłowić, aby ocenić nasze pamiątki i równocześnie osiągnięcia polskiej nauki o prehistorii. Dzięki prof. Kostrzewskiemu rzuciła ona nowe światło na zasięg i znaczenie słowiańszczyzny, wbrew teoriom niemieckim o wszechwładnym i wszędzie sięgającym wpływie germańskim. W Biskupinie zyskał pogląd prof. Kostrzewskiego ważny i oczywisty atut.

Rząd Polski docenia wartość Biskupina i udziela dużej pomocy materialnej Instytutowi Badań Starożytności Słowiańskich dla prowadzenia dalszych odkryć. Dotacje płyną z kilku źródeł: Min. Oświaty, Min. Kult. i Szt., Min. Robót i Opieki Społ. Tegoroczne koszty wykopaliskowe wyniosą prawdopodobnie około 17 milionów. Na miejscu przebywa od maja do listopada ekipa, złożona z 20 naukowców i techników pod kierunkiem dr Zdzisława Rajewskiego, a 150 robotników okolicznych zajętych jest przy kopaniu. Folwarczek 40-hektarowy, dobrze już zagospodarowany, dzięki zapobiegliwej obrotności dr Rajewskiego, dostarczać



Rekonstrukcja grodu — obraz malowany na ścianie w muzeum archeologicznym przez art. malarza L. Kapczyńskiego

ma koniecznych produktów na utrzymanie ekipy, a w przyszłości na utrzymanie w odpowiednim stanie zabytków. Własne dwa samochody: ciężarówka i osobowy służą do koniecznej a ciągłej komunikacji ze światem, Biskupin bowiem leży w zapadłym kącie i szosa dopiero od czasu znaleziska została do niego doprowadzona. Założono także małą kolejkę dojazdową, która przewozi w razie potrzeby gromadne wycieczki. Dla wygody turystów urządzono w domu mieszkalnym na folwarku, o 1½ km oddalonym, schronisko na 50 łóżek. Zrobiono więc i robi się nadal, maksimum tego co można, dla podkreślenia wagi Biskupina i przybliżenia go zwiedzającym.

Ten sezon jest trzecim z rzędu po wojnie sezonem prac wykopaliskowych. Na szczęście Niemcy nie grzebali zbytnio w Biskupinie. Zasypali tylko pewną jego część piaskiem, który teraz utrudnia roboty. Odkryto dotychczas ¾ grodu. Obecnie odkopuje się dojazd do bramy i drogę prowadzącą na zewnątrz falochronu, a ostrokołem z drugiej strony, dodatkowo zabezpieczoną. Pierwszy okres obecnego sezonu był dla prac fatalny, spowodu wysokiego poziomu wody, której nawet pompą usunąć się nie dało.

W jednym z czerwcowych dni mglistych, wypełnionych siąpiącym, przenikliwym deszczykiem — byłam w Biskupinie z prof. Kostrzewskim. Na jego powitanie wybiegł pośpiesznie dr Rajewski i wysypała się cała ekipa. Serdeczne słowa profesora, uśmiechy na twarzach, żwawa krzątanina wokoło, prostota, wesołość, dwa talerze zawiesistej grochówki podane w świetlicy bardzo skromnie, ale okraszone jakąś miłą gościnnością wprowadziły mnie od-

(Dokończenie na str. 3)

Odprzężono konie

Entuzjazm w Berlinie dla sprawy polskiej jest wielki i powszechny. Dnia wczorajszego późnym wieczorem udała się deputacja Polaków tu mieszkających na zamek do ministra hr. Arnima, i wręczyła mu petycyą do króla o zupełną amnestią uwięzionych dotąd jeszcze Polaków. Nazajutrz o godzinie 1 w południe bramy więzienia otworzono, Polacy wyszli z niego uwolnieni zupełnie. W triumfie kroki swoje ponieśli do zamku królewskiego. Towarzyszył im tłum ludu, wśród okrzyków radości i wiwatów na cześć ich imion. Odprzężono konie od wozu, gdzie siedział Mierosławski i Libelt, i ciągnął ich przez całą drogę aż do zamku a ztamtąd do uniwersytetu...“ W tych słowach opisuje kronikarz poznańskiej „Gazety Polskiej“ nr 1 z dnia 22 marca 1848 r. wypadki, jakie w pierwszych dniach rewolucji berlińskiej rozegrały się na ulicach stolicy Prus. A teraz posłuchajmy co na ten temat mówi sam Mierosławski w swoim późniejszym memoriale do król. Komisarza Generała Pfuela::

„Jeszcze w dniu uwolnienia mego lud berliński z balkonu uniwersytetu o zajściach w W. Xięstwie Poznańskiem zawiadomiłem. Program nasz w zupełności zawarty w rozmowie pomiędzy mną i nieprzeliczonemi tłumami mnie słuchającemi.

„Czy pragniecie wdzięczności niewolników?“

„Bynajmniej!“ rzekł lud wspaniałomyślny.

„Chcecie przeto wolnej Polski, wielkiej jak wdzięczność nasza. To atoli obejść się nie może bez niepodległości W. Xięstwa Poznańskiego... Odpowiedzcie mi wolno i jednogłośnie: Czy nam przyznajecie tę niepodległość pod opieką rządu Waszego?“

„Jeden ogromny okrzyk przyzwolenia zdawał nam się być rękojmią rzetelności naszych oswobodzicieli. Taki był nasz układ z ludem berlińskim. Tymczasem z rządem obrachowywać się musieliśmy...“

Niedalekie wypadki pokażą jak bardzo łudził się Ludwik Mierosławski, licząc na rzetelność ludu niemieckiego w Berlinie czy gdzie indziej. Przede wszystkim przekonał się o tym rychło zawiązany w Poznaniu dnia 20 marca 1848 r. Polski Komitet Narodowy, który zaraz w pierwszych dniach swej działalności wysłał deputację „do Jmci Króla Pruskiego, aby spowodować Gabinet Jego do bezzwłocznego uwolnienia tych części Ojczyzny naszej, które przez podziały do jego Państwa przypadły“ a równocześnie zwrócił się z patetyczną odezwą do „Braci Niemców“.

Mimo tak zdawało by się pomyślnej aury i sielankowych stosunków, stacjonujące w Poznaniu wojska pruskie od razu zaatakowały pierwszą siedzibę Komitetu Narodowego t. zw. Bazar a dowództwo posunęło się nawet do żądania rozwiązania się Komitetu. Nie wiadomo jakby postąpił chwiejny od początku w swych posunięciach Komitet Narodowy, gdyby w tej krytycznej chwili nie poparł go poznański lud, t. j. mieszczanin, robotnik i chłop okoliczny. Wystąpił on w zwartej masie na widownię i nie tylko nie dopuścił do rozwiązania się Komtetu i usunięcia go z Bazaru, lecz nadto zażądał i przeprowadził translokację Komitetu na ratusz poznański.

...*„Trudno jest opisać entuzjazm ludu, który w niezliczonej masie był świadkiem tego tryumfu myśli narodowej. Czuł on, że znaczenie tego wydarzenia było wielkie. Komitet Rządowy, reprezentujący myśl Ojczyzny i wolności, wyszedł oto z domu prywatnego, z domu skąd go onegdaj jeszcze przemocą bagnetów wyprzeć chciano i wszedł w mury publiczne i zasiadł na tem miejscu urzędowem, w obliczu narodu, wśród oklasków i wykrzyków, dających poznać, że żadna moc piekielna nie wyruszy go ztamtąd...“* — pisze o tym wydarzeniu „Gazeta Polska“ (nr. 2 z dnia 24 marca 1848 r.). A moce te już niedługo miały się rozpętać. Oto już w w n-rze 3 „Gazety Polskiej“ z dnia 25 marca 1848 r. nasz Komitet skarży się: „że znajdują się wichrzyciele i wrogi naszej wolności, którzy rozgłaszają pomiędzy wiejskim ludem, że szlachta dlatego tylko wywołała ruch, aby wydrzeć włościanom wolność i grunta...“ A więc starą, wypróbowaną metodą starano się od początku poróżnić ze sobą i tak skłócone od wieków żywioły chłopskie z jednej a szlachtę i mieszczaństwo z drugiej strony. Komitet Narodowy od razu przystępuje do kontrakcji. W dniu 25 marca ogłasza manifest do „Obywateli Chłopów“, którym przyrzeka solennie dalsze wolności i pełnię praw polityczno-gospodarczych w przyszłej niepodległej Ojczyźnie. Równocześnie zarówno w samym Poznaniu, jak i w innych miastach i wioskach na ziemiach W. Księstwa rozpoczyna rekrutację gwardii narodowej i zawiązuje swoje lokalne ekspozytury. Młodzież garnie się ochoczo w szeregi gwardii, a zwłaszcza nie dający się zbałamucić propagandzie reakcji pruskiej chłopi masowo przypinają biało-czerwone kokardki i przekuwają kosy na miecze. Zgromadzone w koszarach wojska pruskie zachowują się na razie spokojnie i oczekują dyrektyw z Berlina. Te zaś dość długo nie nadchodzą, bo rząd centralny nie chce drażnić rewolucyjnie nastrojonych tłumów berlińskich a nadto, nie będąc pewny zachowania się Rosji, chce w razie ew. konfliktu skierować przeciw niej animusz wojskowy kosynierów poznańskich.

Stwierdza to wyraźnie przybyły do Poznania pod koniec marca Ludwik Mierosławski, członek a potem przewodniczący Wydziału Wojskowego Komitetu w swej późniejszej relacji z wypadków poznańskich:

...*„Gdym wchodził do Poznania w towarzystwie gwardii akademików polskich... niepodległość W. Xięstwa, okrzykami berlińskiego ludu poprzysiężona, zdawała się pewną i dokonaną... Jenerał Willisen, który mojem zdaniem, ze wszystkich oświeconych Prusaków jedyny poznał, jakie można z patryotyzmu polskiego odnieść korzyści, ażeby Niemcy małym kosztem ze strony Rossyi należycie ubezpieczyć, wprawdzie mi wyraźnie nie polecił, ale w szlachetnej otwartości dał mi dość wyraźnie poznać, iż wzburzenie umysłów w W. Xięstwie Poznańskiem do tego celu kierować należy...‘* I dalej w ten sposób opisuje wypadki poznańskie: ...*„Całe W. Xięstwo stało pod bronią. Komitet polski odbywał swoje posiedzenia na ratuszu. Dwadzieścia tysięcy Polaków różnego wieku i płci poniosły mnie na ratusz, jakoby w żywy dowód przymierza, istniejącego odtąd między patryotami W. X. Poznańskiego i wspaniałomyślnym ludem, który nas oswobodził. Z ratusza obwieściłem to przymierze, wzywając Polaków, aby zmazali winę, zbrojąc się bez wyjątku przeciw wrogowi chrześcijaństwa i oświaty.*

Czemuż władze W. Xięstwa natychmiast nie zaprotestowały przeciw temu programowi? Czemuż natychmiast nie jęły się rozbrojenia powstania polskiego? Czemuż dozwoliły nam działać bez przeszkody? Czy dlatego, ażeby rzeź tym większą uczynić?“

Gdy jednak kadry ofiar przyszłej rzezi po powrocie Mierosławskiego zaczęły z dnia na dzień wzrastać i pod koniec marca osiągnęły już niepokojącą cyfrę około 20.000 kos i szabel, które wódz powstania z 1846 r. zaczął szkolić i organizować wojskowo, pruskie władze okupacyjne nie mogły już na to patrzeć spokojnie. Dla uspokojenia wzburzonych umysłów rząd pruski wprawdzie przyrzeka i godzi się na niesprecyzowaną bliżej narodową reorganizację Księstwa, ale równocześnie ściąga w Poznańskie masy wojsk obcych, zwłaszcza z prowincji śląskiej i pomorskiej. Dowodzący w Poznaniu pruski generał Columb ogłasza z początkiem kwietnia stan oblężenia w Poznaniu i rzuca w teren ruchome kolumny świetnie uzbrojonych wojsk pruskich z poufnym nakazem kategorycznego i bezwzględnego tępienia wolnościowych ruchów polskich. Równocześnie komisarze pruscy w powiatach występują wyraźnie przeciw Polakom oraz kontynuują krecią robotę rozbijania jednolitego frontu polskiego w Poznańskiem. Skarży się na to organ Komitetu Polskiego „Gazeta Polska“ (nr 9 z dnia 1 kwietnia 1848 r.): ...*„Oto w powiatach zniemczonych przez to, że kiedyś Polska przyjmowała prześladowanych różnowierców, jako też przez to, że nie szczędzono środków przez pół wieku do zniszczenia narodowości polskiej, w tych mówię powiatach mieszkańcy niemieccy uzbrajają się pod dowództwem landratów i kommissarzy i zbrojną ręką wypędzają organizującą się siłę moralną narodową; oto po miastach zniemczonych depcą i w rynsztokach walają kokardy polskie, oto się natrząsają z manifestacyi ducha narodowego...“‘* To jeszcze było by nic. Pruski barbarzyńca odsłania całkowicie przyłbicę. Zarówno w samym Poznaniu, jak przede wszystkim na prowincji przychodzi do coraz częstszych i gwałtowniejszych incydentów między spokojną ludnością cywilną polską a żołnierzami pruskimi. Więzienia napełniają się patriotami polskimi a grenadierzy pruscy sieją wszędzie popłoch i zniszczenie. Rozprószone dotąd oddziały gwardii narodowej, wśród której przeważają oddziały kosynierów chłopskich, późniejszych bohaterów spod Miłosławia, dla samoobrony skupiają się razem i przybierają groźną postawę wobec napastników. Wszędzie panuje niepokój i podniecenie.

W tej atmosferze zjawia się dnia 6 kwietnia w Poznaniu pełnomocnik rządu berlińskiego Gen. Willisen. Zwraca się zaraz do Polaków z proklamacją, w której przyrzeka im pewne koncesje natury administracyjnej, ale żąda niezwłocznego rozpuszczenia powołanych pod broń sił narodowych. I znowu pod naciskiem ludu, strzelców i kosynierów, Komitet nie godzi się na te żądania, lecz ze swej strony żąda odwołania obcych garnizonów z ziem W. Księstwa i zorganizowania legalnej narodowej siły zbrojnej z powołanych pod broń obywateli. Polskie narodowe siły zbrojne, mimo brutalnych przeszkód ze strony wojsk rządowych, koncentrują się w okolicach Środy, Wrześni i Trzemeszna a równocześnie między gen. Willisem a delegatami Komitetu Polskiego toczą się rokowania nad sposobami rozładowania naprężnej sytuacji. Po długich naradach dochodzi do skutku w dniu 11 kwietnia t. zw. konwencja jarosławiecka, w myśl której około 20.000 tysięcy uzbrojonych i skoncentrowanych w obozach powstańców miało się rozejść do domów, a za to władze pruskie orzyrzekły przystąpić do zapowianej od dawna reorganizacji i zgodziły się na utworzenie namiastki sił narodowych w Poznańskiem w postaci t. zw. dywizji poznańskiej. Misję likwidacji obozów z ramienia komitetu otrzymał Mierosławski. Posłuchajmy co pisze na ten temat w swej arcyciekawej relacji do Gen. Pfuela (następca Willisena):

...*„Wysłany przez Komitet Narodowy i Jenerała Willisen do obozów znalazłem w nich niespokojne massy chłopów do tego stopnia oburzenia doprowadzone, jakiegom u nich dotychczas nigdy nie przypuszczał. Słowo o złożeniu broni życiemby każdy taki nierozważny przypłacił. Gdy więc podług warunków konwencyi z dnia 11 kwietnia kadry tymże traktatem przyjęte rozdzielone być miały, dowodzący warunku tego tylko tym sposobem dokonać mogli, że oddalonych nazwano „Rezerwą narodową“ i zamiast świadectwa oddalenia dano świadectwo urlopu. Nie chcę tu powtarzać, ilekroć sam wystawiony byłem na śmierć, mimo mej popularności, gdym do roztropności wzywał oddziały — którym Polskę przyrzeczono, a których teraz bez najmniejszych widoków, bez żadnej rękojmi do domu odsyłano“.* I dalej: *„Ledwie królewski kommissarz i deputowani z Komitetu Narodowego podpisali ową nieszczęsną konwencję z dnia 11 kwietnia, aż tu cały ciężar niedoli na nas się zwalił. Wnet bowiem rozpuszczone massy powracały do nas bez broni, zgłodniałe, przez szląską i pomorską obronę krajową sponiewierane, która na nich jak na dzika polowanie zakładała...“*

Dopiero w świetle tego dokumentu możemy należycie ocenić ducha bojowego późniejszych kosynierów miłosławskich, a także z niego dowiadujemy się kto nie dotrzymał warunków umowy jarosławieckiej i sprowokował nierówną walkę orężną. Wrzało więc w polskich obozach powstańczych a równocześnie wokół nich zaczął się zaciskać pierścień uzbrojonych dywizyj pruskch. Przysłowiową iskrą na beczkę prochu stało się doniosłe wydarzenie natury politycznej. Oto dnia 14 kwietnia 1848 r. ukazuje się datowawane rozporządzenie królewskie o przyłączeniu wielu powiatów Księstwa, gdzie obok polskiej mieszka ludność niemiecka do Związku Niemieckiego. W myśl tego rozporządzenia więcej niż połowa obszaru W. Księstwa Poznańskiego wraz z samym Poznaniem miała przypaść Prusom. Rozporządzenie wykonawcze w tej sprawie ukazało się 26 kwietnia. Zaskoczony Komitet ogłasza niezwłocznie dramatyczną protestację, a gdy ta nie odnosi żadnego skutku z dniem 30 kwietnia rozwiązuje się.

Na całym obszarze W. Księstwa Niemcy rozpętują działalność terorystyczną względem polskiej ludności cywilnej. Niszczą jej mienie, mordują i palą. Zamknięte w obozach wojsko narodowe wbrew ugodowemu dowództwu pała chęcią walki i odwetu. Wreszcie przychodzi do wybuchu. Pozwólmy opowiedzieć Mierosławskiemu jak kształtowały się wypadki w tych przełomowych dniach między 30 kwietnia a 3 maja:

...*„Jenerał Hirszfeld zażądał ustąpienia Wrześni, którą nam również jak Miłosław, Pleszew i Książ konwencją z dnia 11 kwietnia na garnizon przeznaczoną została. Niedość na tem. Pułkownik Bonin napadł na nasze garnizony w Odolanowie i Raszkowie. Cóż mam dopiero wspomnieć o zburzeniu Książa? Czyż nie było widoczną, że już nawet nie szukano pozoru dla burzącej zaciekłości i że najuroczystsze przyrzeczenia deptano, aby zaciekłość reakcji zaspokoić. Wszysto to przedstawiłem Jenerałowi Blumen na moście w Miłosławiu, gdy nas wezwał do złożenia broni i do poczytywania konwencji z dnia 11 kwietnia za żadną. Odpowiedziałem mu na to, że choćby i nas konwencja nie wiązała, żaden z nas żołnierzom złamania jej przedstawić nie śmie. A gdyby nawet żołnierze znieważyć ową konwencyą byli w stanie, nie śmieliby po gwałtach uczynionych na kosynierach rozpuszczonych dnia 11 kwietnia złożyć broni przed wojskiem, które parlamentarzy kamienuje i prawo narodów ciągle znieważa...“* I potoczyły się znaną koleją wypadki wojenne. Czterdziestotysięczna doskonale wyekwipowana armia pruska przystąpiła do koncentrycznego ataku na rozdzielone i pozbawione jednolitego dowództwa obozy polskie. Mimo bohaterskich zrywów, jak pod Wrześnią czy Miłosławiem, gdzie kosynierzy chłopscy dokazywali cudów waleczności, powstanie ludu poznańskiego zbliżało się do swego tragicznego końca. Rozbite oddziały polskie cofają się pod naporem wrażej przemocy i kolejno składają broń. Jeden z ostatnich kapituluje w dniu 9 maja sam Mierosławski i za tę cenę zabezpiecza sobie wyjazd za granicę. Rozbrojone oddziały poddane zostają specjalnym represjom. Dochodzi do hańbiących wypadków piętnowania i publicznego torturowania patriotów polskich i powstańców. Łagodnego na ogół generała Willisena luzuje krwiożerczy gen. Pfuel i przeprowadza krwawą pacyfikację poddanych jego władzy terenów. W Poznaniu likwidują się szkoły polskie a mowa polska milknie na ulicach miasta. Blady strach pada na Polaków, jednak wszyscy trzymają się dzielnie i zachowują godną postawę. Szczególnym zabiegom poddani zostają kosynierzy chłopscy, bohaterzy spod Miłosławia. Specjalne ekspedycje karne wyłapują ich w terenie, pędzą do więzień, golą, piętnują i publicznie chłoszczą. I choć kara cielesna w tym czasie właśnie została zniesiona, według gazet niemieckich *„zdaje się być skutecznym lekarstwem na złośliwych Polaków: bo wiele im jeszcze braknie, aby się z nimi można łagodnie obchodzić* („Vossa“ nr 116 z dnia 20 maja 1848 r.).

Dzieje terroru niemieckiego po wypadkach poznańskich wymagają osobnego omówienia. Są one do tego stopnia krwawe i przerażające, że nawet w świetle ówczesnych relacyj prasowych mogłyby wydawać się przesadzone. Niezależnie jednak od tego, że każda wzmianka prasowa, aby mogła ujrzeć światło dzienne w Państwie bojaźni Bożej musiała być odpowiednio udokumentowana zeznaniami świadków — na podstawie wydarzeń, które przyszło nam przeżyć za ostatniej okupacji niemieckiej, możemy łatwiej zrozumieć i odczuć grozę tamtych czasów.

Władysław Błachut.

Może cię powieszą, to popchnęłoby tylko naszą sprawę naprzód

Dnia 26 lipca 1848 roku, a więc przed stu laty, zgłosił Jan Kudlich wniosek w konstytuującym się parlamencie wiedeńskim, ażeby rząd wydał ustawę, która natychmiast zniesie poddaństwo, pańszczyznę i z nią związane ciężary, oraz ażeby wydano rozporządzenie, czy i w jaki sposób ma nastąpić wynagrodzenie. Wniosek został przyjęty przez Radę Państwa. Zniesienie poddaństwa i pańszczyzny uczyniło dopiero z mieszkańców wsi pełnych obywateli i stało się podstawą rozwoju nietylko ludu wiejskiego, ale także mieszczan, przemysłu, handu i innych gałęzi, które ze wsi czerpią zdrowe soki odżywcze, bo najzdolniejsze jednostki nie zawsze pozostają na wsi, w rolnictwie, ale odchodzą ze wsi rodzinnych i zasilają miasta, wnosząc w ich życie nowe wartości.

Nazwisko Jana KUDLICHA, gorącego obrońcy chłopa w ówczesnej Austrii — to jedno z ważniejszych nazwisk pamiętnego roku 1848. Swój głośny wniosek zgłosił on na trzecim posiedzeniu nowootwartego parlamentu, czyli na samym początku tej nowej ery. Jutrzenka lepszej przyszłości dla stanu chłopskiego, która zabłysła po raz pierwszy za czasów Józefa II, lecz zagasła, teraz miała nareszcie w całej pełni zaświecić nad niedolą chłopską.

Straszne ujarzmienie chłopa, które przez wieki przodkowie nasi musieli znosić, miało nareszcie ustać. Chłop miał być od tej chwili zrównanym z panem, z urzędnikiem, miał odtąd korzystać z tych samych praw, co jego dawni ciemiężyciele. Od tej chwili nie miał się już zaliczać do bydła roboczego, ale miał się stać człowiekiem, stworzeniem boskim, a zarazem wolnym obywatelem. Za swój śmiały wniosek Kudlich naraził się panom i rządowi.

Podczas rewolucji październikowej 1848 r. w Wiedniu przeniesiono sejm na wniosek historyka czeskiego Palackiego do Kromierzyża na Morawach. Otwarcie sejmu nastąpiło tam dnia 15 listopada. W dniu 2 grudnia cesarz Ferdynand oddał koronę cesarską Franciszkowi Józefowi. Po burzach roku 1848 zbyt mu już ciążyła.

Jan Kudlich, 25-letni poseł z okręgu beneszowskiego na Śląsku Opawskim udał się także do Kromierzyża. Spotkał tam dawnego znajomego, ówczesnego ministra skarbu Kranza, który go ostrzegł przed grożącym mu niebezpieczeństwem i radził, by czemprędzej Kromierzyż opuścił. To samo doradzali mu przyjaciele. Tłumaczyli, iż przez podburzanie chłopów do oporu i do otwartej walki przez wrogie odnoszenie się do wojska dopuścił się czynu, którego mu rząd nie puści płazem.

Kudlich odpowiedział, iż nie boi się i uważa za swój obowiązek wytrwać na stanowisku, na które powołali go jego wyborcy — i to do ostateczności. Na decyzję Kudlicha wpłynął nasz wielki Franciszek Smolka, na ówczas prezydent sejmu. Kiedy mu Kudlich opowiedział, co doradzają mu przyjaciele, Smolka oświadczył:

Janie, teraz nie możesz odejść, musisz pozostać. Cóż się może stać? Rząd będzie się domagał twojego wydania władzom sądowym, może nawet sądowi wojskowemu. My będziemy twojej nietykalności bronili. Twoi niemieccy przyjaciele okryliby się wieczną hańbą, gdyby się na twoje wydanie zgodzili. My, Polacy, będziemy za tobą głosowali jak jeden mąż. Centrowcy i Czesi będą przeciw tobie. Rozstrzygnięcie leży u chłopów galicyjskich, a ja myślę, iż tych dla ciebie będziemy mogli pozyskać i będziemy święcili wielki triumf. Jest jednakże możliwym, iż sejm cię wyda. Cóż ci się stać może? Może cię powieszą. To popchnęło by tylko naszą sprawę naprzód, bo by lud rozgoryczyło, a sejm dał by dowód, że w jego gronie są ludzie, którzy gotowi są ponosić największe ofiary.

Jednego tylko obawiać się trzeba: by cię skazanego na śmierć nie ułaskawiono na dożywotnie więzienie; przed tym miej się na baczności! Ja tego doświadczyłem w roku 1845. Byłem skazany na śmierć, później zostałem ułaskawiony. Poznałem doskonale życie w więzieniach austriackich; jeszcze parę miesięcy, a byłbym zwariował. Dwóch moich przyjaciół straciło zmysły w więzieniu a dwóch skończyło samobójstwem z rozpaczy. Więc uważaj. Lepiej śmierć — tylko nie do więzienia!

Rozumowanie Smolki podzielał także i Kudlich i pozostał jako poseł w Kromierzyżu. Podczas czynności sejmu wytoczono rzeczywiście niektórym członkom lewicy rzekomo z powodu zdrady stanu i podburzania chłopów procesy. Wśród nich znajdował się także i Jan Kudlich, jako najniebezpieczniejszy dla rządu. Widząc grożące mu niebezpieczeństwo, uratował się w ostatniej chwili ucieczką. Udał się do Szwajcarii, gdzie rozpoczął studia lekarskie. Jako lekarz osiadł w Ameryce, gdzie zmarł jako 94-letni starzec podczas pierwszej wojny światowej.

W rodzinnej jego wiosce, w Uwalnie (Lobenstein) na Śląsku Opawskim, wzniesiono Kudlichowi na wieczną pamięć pomnik, jako największemu obrońcy sprawy chłopskiej. W stulecie jego śmiałego wystąpienia godziło się przypomnieć tę postać. Z jego nazwiskiem bowiem łączy się zniesienie w Austrii pańszczyzny, tej najważniejszej naówczas zdobyczy „wiosny ludów“.

K. Kasz

Nowy wiatr zawiał

Fale nieudanego powstania Mierosławskiego w r. 1846 uderzyły także o ściany zaścianku kaszubskiego, ale nie poruszyły wnętrza, nie wzbudziły żadnego echa.

Organizacja powstańcza Mierosławskiego stanowi pierwszy etap myśli polskiej w dzielnicach pod względem narodowym do tej pory odłogiem leżących, w Prusiech Zachodnich i Kaszubach. Teoretycznie dotarła już przedtem do gimnazjów chojnickiego i chełmińskiego, które do odrodzenia i wychowania narodowego społeczeństwa zachodnio - pruskiego bardzo się przyczyniły. Tutaj w towarzystwach skupiała się młodzież gimnazjalna i uczyła się języka i literatury polskiej już dawno przed rokiem 1846. Do takiego towarzystwa — w Chojnicach — należał także Ceynowa.

Powstanie Mierosławskiego zdobyło się na Pomorzu na jeden czyn realny, na ową wyprawę na Starogard w nocy z 21 na 22 lutego 1846, wykonaną przez Ceynowę i Kociewiaków. Owa wyprawa, zakrawająca w pewnych szczegółach na farsę, nie udała się; jest ona o tyle znamienną, że w sposób nie budzący żadnych wątpliwości odzwierciedla usposobienie polityczne i narodowe ludności Pomorza.

Dwoma hasłami starano się poruszyć ludność kaszubsko - pomorską do powstania: hasłem religijnym ucisku katolicyzmu przez protestantyzm, i hasłem reform społecznych. Kościński[1]) w instrukcjach do komisarzy kładł wyraźny nacisk na to, żeby ludność kaszubską poruszyć do walki fanatyzmem religijnym, bo „poczucia narodowego nie mają“. Ks. Łobodzki w ostatnim przemówieniu do powstańców, wyruszających na wyprawę starogardzką, podniósł jeden i drugi moment.

Te hasła nie okazały się dość silnymi. „Kociewiacy za Polskę bić się nie chcą, bo taka Polska będzie Polską szlachecką, krajem niewoli dla chłopa i gbura“. Te słowa murarza Kuny przed wyprawą na Starogard są typowe. Tak myślała cała ludność Prus Zachodnich, a przede wszystkim Kaszub. Podniecał ich fanatyzm religijny, rozpalała myśl o reformie społecznej, agrarnej[2]) ale wiary „w Polskę szlachecką“ nie mieli.

„Nowy wiatr zawiał na Kaszuby w r. 1848“ — stwierdza ks. Pobłocki (Gryf I 4). Ów gorączkowy polityczny ruch wolnościowy dotarł także do Kaszub i wzbudził tu, niestety, tylko „zaciekawienie“. Powstaje chęć czytania gazet, jak „Biedaczka“ i „Szkółki Narodowej“, budzi się ponownie myśl o uwłaszczeniu, którą w roku 1846 tak silnie akcentowano. Hasłem wyborczym pierwszych wyborów do parlamentu(w Frankfurcie 1848) był właśnie postulat o uwłaszczeniu i nowym podziale gruntów. Szczególniej w Starogardzkim myśl ta zaprzątała umysły chłopów.

Do uwłaszczenia doszło dopiero w r. 1850. Wybory do ustanowionego wówczas sejmu pruskiego wykazują, że ludność kaszubska żywiła wdzięczność i wiarę w rzetelność i opiekę rządu pruskiego. Północni Kaszubi przez pewien czas wybierają posłem do sejmu swego „landrata“.

P. Prac.

1) „Anklageschrift des Staatsanwalts“ w procesie Mierosławskiego — oraz Gryf II. 1—2 (Wyprawa na Starogard).

2) Chodziło wtenczas o uwłaszczenie Drobnego włościanina, który odrabiał tak zw. pańszczyznę pieszą. Gryf II, 1—2 (Wyprawa na Starogard).

ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ ogłasza **KONKURS LITERACKI** na „Hymn Związku Samopomocy Chłopskiej“.

Hymn winien wiązać się tematycznie z ideologią Związku Samopomocy Chłopskiej.

Prace na konkurs należy nadsyłać w terminie do dnia 15 sierpnia br. na adres: Związek Samopomocy Chłopskiej, Zarząd Główny, Warszawa, Pl. Starynkiewicza 7/9 z dopiskiem: „Konkurs na Hymn“. Prace podpisane godłem należy przesłać w kopercie, wewnątrz której winna znajdować się druga zaklejona koperta opatrzona tym samym godłem, zawierająca kartkę z nazwiskiem i imieniem oraz adresem autora.

1. Warunki konkursu: I nagroda 100.000.— zł
   II „ 50.000.— „
   III „ 30.000.— „
2. Nagrodzone utwory stają się własnością Związku Samopomocy Chłopskiej.
3. Jury Konkursu składać się będzie z przedstawicieli:
   Ministerstwa Kultury i Sztuki
   Związku Zawodowego Literatów
   Związku Zawodowego Kompozytorów
   Związku Samopomocy Chłopskiej.
4. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone 15 września 1948 r.

(71)

JAN BARANOWICZ

Na balkonie

Tak nam swojsko obu — mnie i psu,
gdy o szorstką barierę balkonu
opieramy brody. Od pagórka
sypie na nas żytni zapach wiatr
i jak w sianie tarza się w czuprynach.
To jedyna niegroźna udręka,
co nam każe cierpliwie przygładzać
płową mierzwę włosów.
Szczerze, jasno
patrzą oczy na zgrabne pudełka
will, barwionych bluszczami al fresco.
Nie zniechęca ich zawiść, co lubi
w kątach powiek chować liście cienia.

Uszom miła powinność słuchanie.
Jak rybackie włoki łowią zwinnie
ryby dźwięków, płynących z jaśminów.

Słowo i myśl przymierzą się zgodnie.
Nie rozdziela ich trzeźwość ostrożna,
co zawiesza u warg łatwy uśmiech.
Kroczą prosto jak stopy po ścieżce,
przytakują, milczą albo przeczą.

Ten wielościan z cementu i stali,
przylepiony jak gniazdo jaskółcze
do załomu ścian na pierwszym piętrze,
więcej waży dla mnie, niż gabinet,
gdzie się ważność wylęga i chłód
na fotelu, w szmerze okólników.

Mój krajobraz drga zieloną prawdą
a zamyka go siwy horyzont.
Wypełnia go kamień i poziomka,
drzewo gruszy i obłok i ptak
i współczucie i cicha samotność.

Nie wyprzedza mych słów ani kroków
szum proporca ni stuk pastorału.
Jedną chowam w zanadrzu biblię: —
ciepłe, mocne, słodkie człowieczeństwo.
Nim opalam się jak skwarem słonka.
Nim wyplatam, niby kosz wikliną,
me godziny cierpkie i pogodne.

Z niego każę zrobić stolarzowi
wieko trumny, gładką trumnę całą,
gdy się pola pożegnają ze mną
a przyjaźnie uściska dłoń śmierć.

Biblografia zawartości czasopism

BIBLIOGRAFIA ZAWARTOSCI CZASOPISM. Biblioteka Narodowa. Warszawa, 1948. Tom I, lipiec 1947. S. nlb 12.288 (powiel.)

Z niewymownym uznaniem należy powitać ukazanie się I tomu Bibliografii zawartości czasopism, wydanej przez Bibliotekę Narodową. Sprawa wydania takiej bibliografii była w najwyższym stopniu palącą, gdyż dziś, wobec przyspieszonego tempa życia umysłowego zagadnienia naukowe nie mogą czekać na szczegółowe ich opracowania w oddzielnych monografiach, lecz poruszane są stale w czasopismach. Ukazujące się tam artykuły stanowią nieraz b. cenne przyczynki do wyjaśnienia danej kwestii.

Jeszcze bardziej zwiększa wartość bibliografii fakt, że nie ogranicza się ona do zawartości czasopism w ścisłym znaczeniu tego słowa (tygodników do roczników włącznie), lecz jako wynik wielkiej i żmudnej a tak pożytecznej pracy daje przegląd wydawnictw zbiorowych i dzienników, przez co mamy możność dowiedzenia się o nieraz b. cennych artykułach i recenzjach, które by łatwo uległy zapomnieniu lub przeoczeniu.

Podkreślić też należy z uznaniem, że bibliografia zawartości czasopism nie jest jedynie mechaniczną rejestracją artykułów, gdyż tytuły, które nie informują dostatecznie o treści artykułu, zaopatrzono w uwagi i wyjaśnienia, pozwalające zorientować się w ich treści, co ułatwia poszukiwania materiału.

Bibliografia jest ujęta w 28 działach według schematu, stosowanego przez „Przewodnik Bibliograficzny“. Ograniczenie bibliografii, jak tego chcą niektórzy, do nauk humanistycznych i prawno-społecznych umniejszyło by bezwzględnie trud wydawcom, ale było by z wielką szkodą dla nauki, gdybyśmy byli pozbawieni pełnego przeglądu zawartości bieżących czasopism.

Nasuwają się jednak pewnc uwagi, jeżeli chodzi o podział na poszczególne działy i ich tytuły. Obok dokładnego wyszczególnienia pewnych gałęzi nauk, inne zostały zgrupowane pod zbyt ogólnikowymi tytułami. Słusznie poświęcono filologii trzy działy IX—XI (językoznawstwo, literatura i nauka o literaturze), naukom prawno-społecznym cztery działy XIV—XVII (prawo i administracja, polityka, ekonomika, nauki i zagadnienia społeczne). Dział III wymienia archiwistykę, bibliologię i muzealnictwo. Tytuł działu V informuje nas, że znajdziemy tam artykuły z zakresu filozofii, logiki i psychologii. Ale czemu chemia, fizyka, biologia, zoologia, mineralogia itd. zostały stłoczone w jednym dziale XX pod krótką nazwą nauk przyrodniczych? Podobnież dział XXI nauk lekarskich nie wyszczególnia jako odrębnych poddziałów medycyny, farmacji, weterynarii, stomatologii, lecz artykuły ze wszystkich tych gałęzi umieszczone są w porządku alfabetycznym haseł. Jeżeli czytelnik chce znaleźć zagadnienia z tak ważnej dziś dziedziny jaką jest leśnictwo, to nie znajdzie tej gałęzi, wymienionej w tytułach działów. Leśnictwo jest ukryte w dziale XXV, zatytułowanym „Gospodarstwo wiejskie i domowe“, gdzie pomiędzy dwoma nekrologami pozycja nr 1374 pod hasłem rzeczowym „leśnictwo“ skupia artykuły, dotyczące tego zagadnienia.

Może było by lepiej rozbić nauki zgrupowane razem pod zbyt ogólnikowymi tytułami na poddziały.

W bibliografii obok jednostkowych pozycyj przyjęte zostały pozycje zbiorowe, gromadzące pod jednym hasłem artykuły odnoszące się do tego samego zagadnienia. Takie zbiorowe pozycje bezwzględnie ułatwiają pracę w poszukiwaniach naukowych, zwłaszcza że bibliografia została zaopatrzona obok indeksu autorów w indeks haseł rzeczowych.

Ale umieszczenie równocześnie w jednym porządku alfabetycznym i pozycyj pod hasłami autorskimi i pozycyj zbiorowych pod hasłami rzeczowymi wpływa ujemnie na przejrzystość bibliografii. W niektórych działach prawie wszystkie pozycje zostały zgrupowane pod hasłami rzeczowymi, w innych są tylko hasła autorskie (literatura), gdzie indziej oba rodzaje haseł pojawiają się na zmianę.

Weźmy dla przykładu niektóre działy. W dziale VII (geografia) artykuły słusznie zostały umieszczone nie pod hasłami autorskimi ale rzeczowymi, zależnie od miejscowości, której dotyczy artykuł. W dziale III zupełnie racjonalnie mamy też pozycje zbiorowe pod hasłami rzeczowymi: antykwariat, archiwum, autorskie prawa, bibliofilstwo, bibliografia, biblioteki, czasopiśmiennictwo itd. Między nimi zabłąkało się tylko kilka pozycyj jednostkowych pod hasłami autorskimi. Ale w historii (dział VI) obok archeologii i prehistorii wyodrębniono historię starożytną, dlaczego również nie wyodrębnić średniowiecza, historii nowożytnej i czasów najnowszych? Dział XIV zawiera jedną pozycję zbiorową (adwokatura), dalej w porządku alfabetycznym według haseł autorskich idą artykuły z różnych dziedzin prawa. Możnaby je zgrupować choćby w najogólniejszych poddziałach, jak prawo państwowe, międzynarodowe, karne, cywilne, administracja itd. W dziale XVII pozycje zbiorowe pod hasłami rzeczowymi są przeplatane z pozycjami jednostkowymi pod hasłami autorskimi. Weźmy dla przykładu pozycje pod nr nr 1137—1148:

Trajnin J. P. O demokracji typu szczególnego.
Tycner H. O nowego człowieka.
Ubezpieczenia (zb. kilkanaście pozycji).
Uniwersytety Ludowe (4 poz.)
Waraszkiewicz J. Kobeszko Edward. Jeden z tych, którzy stale idą naprzód.
Wczasy (zb. kilkanaście poz.)
Wende Jan K. Inteligencja i postępowe mieszczaństwo w nowej Polsce.
Z. S. R. R. (zb. kilkanaście poz.)
Związki i stowarzyszenia (zb. kilkadziesiąt poz.)
Żebrowska M. Zagadnienie przestępczości nieletnich w świetle obrad konferencji ekspertów w Genewie.
Żółkiewski St. Obecna sytuacja inteligencji polskiej.

Czy nie przyczyniłoby się do przejrzystości bibliografii umieszczenie w każdym dziale naprzód wszystkich pozycyi zbiorowych, zgrupowanych pod hasłami rzeczowymi, a następnie — jako drugą grupę — tych artykułów, które nie mogły wejść do pozycyj zbiorowych, w porządku alfabetycznym pod hasłami autorskimi?

Nie wiem, czy te drobne uwagi dadzą się wykorzystać praktycznie. Ten tylko, kto pracował na polu bibliografii, zdaje sobie sprawę, jak trudno jest uszeregować materiał, znaleźć odpowiednie hasło rzeczowe lub zdecydować pod jakim hasłem umieścić dane zagadnienie.

Teraz pozostaje nam tylko oczekiwać z niecierpliwością ukazania się Bibliografii zawartości czasopism w szacie drukowanej, by tak cenna praca stała się dostępną każdemu. Miejmy nadzieję, że miarodajne czynniki dopomogą do usunięcia wszelkich trudności, zwłaszcza materialnych, na jakie na drodze zrealizowania tego zamiaru napotyka redakcja. Wydrukowanie w jak najprędszym czasie tak potrzebnej bibliografii jest rzeczą konieczną.

Marta Burbianka.

ANNA KOWALSKA

Imieninowy podwieczorek

Odniosłam Trojanowskiej do kuchni broszurkę wydaną przez towarzystwo Christian Science i położyłam ją z pewnym zakłopotaniem na torbie gospodyni.

— Ciekawe jest to opowiadanie o cudownym uleczeniu nauczycielki — zaczęłam nieśmiało. Trudno mi było nawet z sympatii do Trojanowskiej dzielić jej przekonania sekciarskie, bałam się ją urazić, gdyż jak wszyscy w tym domu zabiegałam o jej życzliwość. Nie umiałabym powiedzieć dlaczego zależało mi na tym, aby zjednać sobie przychylność starej gospodyni moich przyjaciół, dlaczego posuwałam się nieraz aż do hipokryzji byle tylko jej do siebie nie zniechęcić. Gdy spokojna, szlachetna twarz Trojanowskiej ożywiała się przyjaznym uśmiechem robiło mi się raźniej na duszy, jakbym pozyskała sobie przychylność magicznych sił.

— Tak się wszyscy cieszymy, że pani Aniela czuje się zdrowsza. Dziś jest tak odmieniona.

Niebieskie oczy Trojanowskiej zabłysły ogniem, jakby była świadkiem triumfu swego Boga na ziemi.

— Ah, ja wiedziałam, że pani Aniela się podniesie, długo z nią wczoraj wieczór rozmawiałam i czułam, że ona może pojąć. Bóg nie zsyła chorób, nie może chcieć chorób. Stworzył człowieka doskonałym. Musimy się tylko skupić wewnętrznie i uwierzyć we wszechmoc Bożą, a Bóg doda nam sił abyśmy przezwyciężyli chorobę. Nie materialne siły rządzą światem, ale duchowe. — Trojanowska popatrzyła na mnie badawczo i wróciła do drelowania agrestu. Rzadko kiedy można ją było widzieć bezczynną, wierzyła bowiem że najlepszą modlitwą jest praca. Pracowała w domu Ożarskich ale służyła Bogu. Zdjęłam z gazu imbryk i postawiłam na tacy. Trojanowska chciała go zanieść ale poprosiłam ją, aby sobie nie przerywała roboty.

Ledwie jednak wyszłam na próg salonu pan Władysław Barącz, mąż Wandy, starszej córki domu, zerwał się z fotelu i wyjął mi tacę z ręki.

— Od kiedy to gość się trudzi? Nasze panie dziś potraciły głowy.

— Panie Władysławie, proszę nie stawiać tam w salonie, podwieczorek ma być na tarasie, zaraz otworzę drzwi, o tu w kącie jest przygotowany stolik, nie trzeba będzie biegać. Ale, wracając do tego co pan powiedział wcale nie czuję się gościem ale domownikiem.

— To jest pani szczęśliwsza ode mnie, bo ja od osiemnastu lat czuję się gościem we własnym domu, i to gościem nie bardzo pożądanym zwłaszcza przez moją teściową.

— Ah, Kosia...

— Właśnie ah, Kosia.

— Kosia jest cudo.

— Umiem to na pamięć. Kosia jest cudo, niedościgła, *incomparable*. Kosia nawet nie umie się zaczesać. Nic biedactwo nie umie, tylko rządzić.

— Panie Władysławie, czy można sobie wymarzyć idealniejszą teściową niż Kosia.

— Napewno nie. Tylko dlaczego mam marzyć o teściowej! Ja zakochałem się w Wandzie, ożeniłem się z Wandą a osiemnaście lat jem śniadanie, obiad i kolację z Kosią. I już sam nie wiem czy potrafiłbym żyć inaczej, sam na sam z Wandą, a bez Kosi, Heleny, Krzysztofa, a przede wszystkim Anieli. Co pani powie na Anielę, prawda, że jak nie ta sama. Ledwie wzięła sześć zatrzyków i co za różnica! Nieraz widziałem, jak poprawa tak nagle przychodzi. Kosia już na msze dawała za zdrowie Anieli.

Pan Władysław w domu pań Ożarskich pełnił funkcję panny służącej i rezydenta, nakrywał do stołu, biegał na pocztę i do apteki, bawił gości i zrzędził. Dostawał małą emeryturę i to mu dawało pewne poczucie niezależności. Wanda dobrze zarabiała jako dentystka i nie tylko go utrzymywała ale i pielęgnowała w nim kosztowne manie, z których główną było fotografowanie. Nie potrzebując walczyć o życie, zdziwaczał. Fotografował znajomych i obdarzał ich fotografiami. Gdy się skarżył żonie, że musi żyć z jej rodziną pod jednym dachem zbywała go milczeniem albo obdarzyła go większą sumą pieniędzy na przyjemności.

— Ot i Aniela nadchodzi, możnaby ją sfotografować i posłać fotografie do pism, na dowód co może dzisiaj medycyna.

— Herbata wystygnie, Kosiu, niech Kosia siądzie w rogu, o tam będzie najwygodniej, nie, nie tu, przecież tamto jest mamine krzesło ulubione z niskimi poręczami. Wanda i Helena pod ścianą, Anielka jako chora na leżaku a Krzysztof i Wojtek gdzie się zmieszczą. A my z panią o tu przy tortach — dyrygował pan Władysław.

Zazgrzytały ogrodowe krzesła o kamienie tarasu, zatrzeszczały trzcinowe fotele. Ożarscy ledwo mieścili się na obszernym tarasie, gdyż wszyscy byli nadnaturalnych rozmiarów. Aniela i pan Władysław przy tych płowowłosych olbrzymach o dziecinnych twarzach wyglądali dziwnie kruche i delikatnie.

— Nareszcie mamy prawdziwie ciepły dzień. Nie, dziękuję, ja bez cukru piję herbatę, Władziu, że też ty nie możesz tego zapamiętać — niecierpliwiła się pani Ożarska, zwana przez dzieci Kosią. — Zeszłego roku były już na imieniny Anielki truskawki, a tego roku taka zimna wiosna — popatrzyła ukosem na synową. — Anielu, nie bierzesz tortu? Jest wyśmienity. Trojanowska do północy wczoraj krem ucierała.

Z wizytą u poety i sztukmistrza



Kazimierz Wyka: CYPRIAN NORWID, POETA I SZTUKMISTRZ. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948, stron 166.

Książka Kazimierza Wyki jest wydarzeniem literackim. Ten najlepszy współczesny krytyk polski, doskonały essayista, świetny znawca i teoretyk literatury, z książkami występuje rzadko, służąc piórem kilku pismom literackim, w pierwszym rzędzie redagowanej przez siebie „Twórczości" i „Odredzeniu". Stworzona przez niego na łamach „Odrodzenia" szkoła krytyków omawiała problemy i problemiki współczesnej rzeczywistości literackiej, których znajomość i właściwa ocena jest warunkiem dobrej krytyki. Essaye Wyki, których rozpiętość tematyczną określają najlepiej dwa tytuły, „Gospodarka wyłączona" i „Obrona van Meegerena", były w powojennej literaturze polskiej jedyne w swoim rodzaju, stanowiły szkołę doskonałej prozy i świetnego rozumowania.

W książce swojej o Norwidzie, która wbrew pozorom nie jest zwykłą pracą uczonego polonisty ale właśnie świetnym essayem, wyrosłym zresztą z filologicznego stosunku do tekstu poety, Wyka ukazuje nam postać po dziś dzień najmniej znanego wielkiego poety polskiego na tle stosunku do poszczególnych sztuk, a zwłaszcza rzeźby, architektury („Poeta łuku i kolumny"), muzyki i malarstwa. Doskonała analiza tekstu pod tym względem to próba najlepszej „polonistyki", przykład godny do naśladowania, zwłaszcza przez to pokolenie polonistów, które i praktycznie uprawia literaturę. Narzeka się ogólnie na niedokształcenie młodych pisarzy polskich, na brak wśród nich szerszych zainteresowań sztuką. Książka Wyki o Norwidzie odda w tym tak koniecznym dokształcaniu się ogromną przysługę.

Odblask sztuk w poezji Norwida to nie tylko kształtowanie się jego wyobrażeń artystycznych, ale także oryginalność jego stylu, jego artystycznej postawy wobec widzianego („monumentalna i opanowana liryczne posągowość jego stylu"). Z przeżycia sztuk, przed nim w poezji polskiej niespotykanego w takim znaczeniu, wyniósł dwoistość swej poetyckiej natury „statyczną wyniosłość i ulotne wzruszenie, kształt widzianego i rytm odczutego". Norwid ukazany w ten sposób — dodajmy do tego jeszcze i ten cenny wniosek Wyki, że spod bogatego zdobnictwa poety-sztukmistrza często przedziera równie posągowa jego postawa moralna, „dyktująca mu powściągliwy stosunek wobec omylnej współczesności oraz wyniosłą ironię", — to pełny wizerunek wielkiego poety, żyjącego intensywnym żywotem nagromadzonej w sztuce myśli i uczucia, samotny jeśli chodzi o przeżycia sztuki, nowe, w poezji polskiej niemal prekursorskie, włączający się w szereg innych wielkich poetów polskich, jeśli chodzi o postawę moralną, (...bo dla sztuki polskiej zawsze związki moralne z rzeczywistością były przewodnikiem ...).

Język tej nowej książki Wyki, sposób wykładu, jak najbardziej współczesny, a równocześnie sumienny, to jej zewnętrzne cechy, stanowiące o jej rzadkich wśród tego typu książek wartościach.

JERZY SZUMILAS

Wszyscy odwrócili dyskretnie głowy, aby nie patrzeć czy Aniela naprawdę weźmie tort, gdyż od miesiąca nic prawie nie jadła. Gdy Aniela nabrała na talerzyk i zaczęła ze smakiem jeść, rodzina spojrzała po sobie z rozradowaniem. Zaczęto opowiadać jakie to porządki robi się w mieście i że teraz to już naprawdę widać, że się zabrano do Wrocławia. Aniela pochwaliła nawet prezydenta miasta, jemu przypisując w głównej mierze zasługę, co rzecz dziwna nie spotkało się ze sprzeciwem pani Kosi. W domu pań Ożarskich nie było zwyczaju mówić o jakiejkolwiek władzy inaczej jak conajmniej z przekąsem.

Krzysztof Ożarski, jedyny po śmierci starszego brata syn domu, przesunął się na skraj tarasu i zapuścił długie nogi aż w żywopłot z świerczyny. Przyjechał poprzedniego dnia z Warszawy na imieniny bratowej i przywiózł jej w podarunku wspaniały neseser. Matka i siostry obliczyły natychmiast ile to trzeba mu będzie zwrócić (oczywiście oprócz kosztów podróży) gdyż Krzysztof jako inżynier kolejowy mało zarabiał a wydawał bardzo dużo.

— Jak to dobrze, że wzięliśmy wczoraj Anielę do teatru, wzbraniała się iść, a proszę, całkiem inny ma dziś humor. To nie życie dla młodej kobiety siedzieć wiecznie w domu, jeszcze naprawdę gotowa wpaść w melancholię... — zamyślił się Krzysztof.

— Podobał się jej neseser, widziała pani, jak się ucieszyła?..

Panie zajęte były Wojtkiem, ośmioletnim synem Krzysztofa, przebywającym u nich od roku, gdyż żona Krzysztofa nie mogła sobie poradzić z dwojgiem młodszych dzieci. Wojtek był przymilny, ale bardzo wścibski i mieszał się do każdej rozmowy.

Dziwna to była rodzina z Ożarskich. Ani wojna, ani utrata majątku ani opuszczenie rodzinnych stron nie wniosły żadnych zmian. Pani Kosia jak za młodych lat panowała żartobliwie ale nie na żarty nad swymi już dorosłymi dziećmi. Wanda i Helena wyszły za mąż, Antek i Krzysztof się pożenili a wszyscy pozostawali w duchowej zależności od niej. Antek w czasie swojej choroby ustawicznie domagał się, aby go matka nie odstępowała i umarł trzymając ją za rękę. Pierwsze więzy okazały się silniejsze od późniejszych. Córki czuły się obco ze swymi mężami a synowie z żonami i garnęli się kiedy tylko mogli do domu matki. Pragnęli, aby im bardziej wszystko na świecie się zmieniało, to jedno, dom matki trwało niezmienione. Kiedy pani Ożarska przyjechała z córkami i synową do Wrocławia urządziła mieszkanie tak mniej więcej jak było w ich domu na Wólce, pielęgnowały wzajemnie swoje upodobania i pilnowały aby nikt z nich się nie zmieniał. Ożarscy odmawiali dojrzewać i zostawali dziećmi. Córki o mężach a Krzysztof o żonie mówili ze smutną a pochlebną tkliwością, z jaką się mówi o umarłych i gdy tylko było można, zapominali o nich. Interesowali się wyłącznie tym, co ich, rodzeństwo i matkę dotyczyło.

Obie córki, Wanda i Helena, dobrze zarabiały, ale Wanda lubiła się stroić i wydawała wiele pieniędzy na męża. Naprawdę zaś dom cały był na utrzymaniu młodszej Heleny. Milcząca olbrzymka energiczna i skupiona pracowała przedpołudniem w szpitalu, popołudniu przyjmowała u siebie, a wieczorem odwiedzała chorych. W domu miała przywileje jakie zwykle mają mężczyźni, wszyscy dostosowywali się do jej zajęć.

Helena zostawiła męża w Krakowie odmówiwszy rozstać się z matką i rodzeństwem — Nie mogę się okazać niewdzięczną. Matka sama nas wychowała. Poświęciła nam swoją młodość, jakżeż ją dziś opuścić. — Ale jestem twoim mężem, do czego takie życie podobne — oburzał się za każdym widzeniem Medard Uniatycki.

— Czy ty wiesz co to jest wychować czworo dzieci? — Wiedział, był jedynym dzieckiem w rodzinie i sam nie chciał mieć ani jednego. Helena napomykała, że to się kiedyś zmieni, rozumiało się, po śmierci matki, zapewniała go o swojej miłości ale nie przenosiła się do niego. Medard Uniatycki nie mógł znosić rodziny żony, uważał ich wszystkich za półwariatów, zostawało więc po dawnemu.

— Jutro mam znowu iść do urzędu podatkowego — westchnęła Helena — będę musiała się zwolnić ze szpitala, a nie lubię tego.

— Ależ Heleno, ja ci załatwię najchętniej, mam w urzędzie podatkowym przyjaciela, to mi ułatwi, jeśli trzeba będzie.

— Kamień zdjęłaś mi z serca — cały dzień się tym gryzłam.

— Gniewam się, żeś o mnie nie pomyślała. Dać ci jeszcze herbaty — troszczył się pan Władysław i poszedł z jej filiżanką do stolika, na którym stał imbryk w watowanej infule.

— Popatrz na Anielkę — szepnęła Helena. — Czy nie miałam racji, że dorosła kobieta powinna pracować. Mama chciała dla niej jaknajlepiej. ale dzisiaj to nie taki czas kiedy można zostawiać kobietę w domu. Co ma robić? Serwetki haftować? Wystarczyło, że mój kolega ofiarował jej pracę, a dostała rumieńców.

— A nie myślisz, że pomogły jej zastrzyki? — spytałam zdziwiona, że jako lekarka nie w tym widzi powód polepszenia. Ale Helena była najpierw feministką, a potem dopiero lekarką.

— Zastrzyki napewno jej nie zaszkodziły, sama jej zapisałam, ale Anieli głównie potrzeba było zajęcia, jakiegoś włączenia się w życie.

Kos usiadł na pobliskiej czereśni obwieszonej szmatami mającymi odstraszać ptaki, dzióbnął na szczycie drzewa w najdojrzalszą czereśnię i po chwili zagwizdał.

— Bezczelny, nietylko nie boi się naszych strachów, ale jeszcze gwiżdże, naprawdę zawiele sobie pozwala — oburzył się pan Władysław i wziął przez roztargnienie cały środek tortu na swój talerz.

W oddali między drzewami przeświecała różowo wśród zielonych łąk Odra miękko zagięta jak ramię spoczywającej dziewczyny. Nie mogłam oczu oderwać od mieniących się wód i zapragnęłam być sama. Ożarscy należeli do czasów dawno uminionych i obcowanie z nimi przypominało sen, w którym widzimy się znowu w szkolnej ławce, sen zwykle przykry i dręczący.

— Jak to ładnie, że pani nam poświęciła trochę czasu — odezwała się pani Kosia do mnie. Spuściłam oczy z zażenowania, bo właśnie myślałam o tym, że chyba tu jestem po raz ostatni.

— Wrocław jest tak rozległy — ciągnęła dalej — że jak się chce naprawdę pogadać do woli i pobyć z sobą to musi się conajmniej nocować. Anielka, od kiedy pani przybyła, aż poładniała, a dziś nawet śniadanie zjadła i trochę na obiad. Ah, biedactwo, jak ona za Antkiem rozpacza. Trzy lata minęły od jego śmierci a ona coraz bardziej pogrąża się w żałobie. Wszystko dla niej robimy, ale cóż może młodej kobiecie zastąpić kochającego męża i to jeszcze takiego jak Antek — starsza pani zamyśliła się na chwilę i przygarbiła, ale wnet poderwała się, zatrzepotała jak ptak zbudzony i powiodła oczami po dzieciach.

Myliła się pani Kosia, bo niewiele przebywałyśmy razem z Anielą. Samotność we dwójkę nam ciążyła i tym razem nie udało nam się nawiązać dawnej serdecznej zażyłości. Czasem nawet zdawało mi się, że dostrzegam na twarzy Anieli cień zniecierpliwienia, jakbym przeszkadzała jej w samotności. Aniela najchętniej mówiła teraz o polityce i wygłaszała poglądy bardzo różne od tych jakie wyznawała reszta rodziny Ożarskich. Często w ciągu rozmowy zrywała się z kanapki na której spoczywała okryta szalem i podbiegała do okna. Wpatrywała się w uliczkę jakby na kogoś czekając, a gdy listonosz dzwonił zbiegała aby odebrać listy. Pilnie czytywała gazety i używała w rozmowie zwrotów dziennikarskich.

W tej chwili śmiała się i patrzyła na ogród z zachwytem jakby go pierwszy raz widziała. Willa Ożarskich z tarasem od zachodu i werandą od południa była pięknie położona, bo za rozległym ogrodem, pełnym starych drzew ciągnęły się łąki a dalej w cieniu lip toczyła swe wody Odra. Było to chyba najpiękniejsze miejsce na Sępolnie.

— Ba, żeby tak ten domek móc przenieść do Warszawy ... — mamrzył głośno Krzysztof.

— Z nami, czy bez nas? ... zapytał rumianolicy pan Władysław i łypnął okiem w stronę swej żony, czy smakuje w jego dowcipie, ale Wanda zajęta była nakręcaniem zegarka.

— Czy nie lepiej było ci kupić zwykły sportowy? — zapytał Krzysztof siostrę, zignorowawszy pytanie szwagra.

— Ale ten jest złoty. Prawdziwa okazja — obruszyła się Wanda.

— Staroświecki fason i te małe często się psują.

— Ciocia Wanda ma już trzy zegarki — skarżył Wojtek.

— Czy ktoś się ciebie pytał? — skarciła bratanka Helena, ale sama nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Serce ci dokucza? — zaniepokoiła się pani Kosia gdy Aniela dotknęła ręką piersi.

Aniela zarumieniła się gwałtownie aż po szyję i zaprzeczyła głową a potem pochyliła się nad Wojtkiem usiłującym wbrew zakazom puszczać w kącie tarasu kolejkę.

— Miejsca tu nie ma Wojtek, znowu pogniesz szyny — złajała Helena bratanka.

— Ciociu, a nie mogę pójść na werandę, tam jest najwięcej miejsca. Przecież ja wcale jeszcze dziś nie puszczałem kolejki.

— Idź, tylko mi nic tam nie przewracaj na stole, mam tam rozłożone papiery.

— Widziałyście białą różę koło werandy? Ma jeden płatek czerwony — powiedziała pani Kosia.

— Ja pani pokażę — krzyknął chłopiec biorąc mnie za rękę. Zeszłam z tarasu z Wojtkiem, który okazywał mi wiele przyjaźni, od kiedy go zaprosiłam na lody do narożnej cukierenki.

— Wie pani dlaczego ciocia Aniela chwyciła się za serce? Widziałem, jak zanim przyszła na podwieczorek schowała na piersiach list od pana Adama.

— Wojtek, to nieładnie być takim wścibskim.

— Ah, czy ja naumyślnie podglądałem? Wcale nie. Zresztą tak się wszyscy martwią, że ciocia Aniela chora, a ona tylko czeka aż pan Adam wróci z Paryża. Ma mi przynieść kolonialne francuskie znaczki. Ciocia się z nim posprzeczała i martwiła się, że pan Adam nie wróci. A ja wiedziałem że wróci. Pani wie, on pisze w gazetach i jeździ samolotem. Bardzo śmieszny jest i taki wesoły. Do cioci raz powiedział, że musi ją stąd wyrwać, bo ten dom to jak szafa z naftaliną. A babcia mówi że mole lubią naftalinę. Czy pani wie o tym.

Nie myślałam o naftalinie ani o Anieli i jej kółku rodzinnym ale o starej gospodyni Trojanowskiej cierpliwie drelującej dla swoich pań agrest przy wtórze trąb archanielskich, przeto zostawiwszy Wojtka na werandzie skierowałam się do kuchni.

„Poczwara"

Taki tytuł nosiła gazetka wydawana przez Towarzystwo Polskich (studentów) Górnoślązaków we Wrocławiu w drugiej połowie XIX wieku. Gazetka ta była pisana ręcznie.

Rękopiśmienna wersja czasopisma była bardzo popularna w Polsce od czasów najdawniejszych. Pierwsze polskie Nowiny, Awizy, Relacje, Wiadomości (druga połowa XVI wieku) były pisane ręcznie. Są one popularne szczególnie w wiekach XVII i XVIII. Spotyka się je i w epoce romantyzmu.

Powodzenie gazet pisanych ręcznie można uzasadnić tym, że posiadały one charakter bardziej poufny niż czasopisma drukowane.

Mogły jednakowóż istnieć i inne przyczyny. Mała liczba odbiorców uniemożliwiała pokrycie kosztów druku. W Warunkach polskich wieku XIX oddziaływać tu mogły również względy natury politycznej. Gazetek o treści sprzecznej z interesem rządów zabarczych nie podjęłaby się drukować żadna oficyna. Stowarzyszenia zaś tajne nie zawsze mogły się zdobyć na własną drukarnię.

W czasach późniejszych rękę zastąpiła doskonale maszyna do pisania, a nakład ułatwiło ogromnie zastosowanie powielacza. Tajna prasa w okresie ostatniej okupacji w przeważającej mierze rozchodziła się właśnie w postaci maszynopisów odbitych na powielaczu.

Rękopiśmienną wersję „Poczwary" trudno tłumaczyć względami natury politycznej. Politycznie gazetka ta nosiła charakter raczej bezbarwny. Na druk nie pozwalał chyba mały nakład. Gazetka bowiem przeznaczona była na użytek Towarzystwa, którego liczebność nie przekraczała 40 członków.

Notatkę o istnieniu tego pisma zamieścił w jednym ze swoich artykułów ks. Raczek. „W styczniu 1872 — pisze on — postanowili członkowie (Towarzystwa) wydać „gazetkę piwną", do której każdy zobowiązany był coś napisać".

Od czasu do czasu zbierali się członkowie na wspólne biesiady.

„Na biesiadę piwną — pisze dalej ks. Raczek — obierali bibułowie „Gambrinusa", t. j. przewodniczącego (magister bibendi), któremu do asysty przydani byli paziowie".

Druga wzmianką o istnieniu polskiej gazetki studenckiej we Wrocławiu znajduje się w biografii Antoniego Bederskiego.) Mówi nam ona, że Bederski „pierwociny swojego pióra, rozprawki i wiersze zamieszczał w pisemku studenckim „Poczwara", pisaym ręcznie".

Bederski studiował na uniwersytecie wrocławskim w latach 1871—1878, w międzyczasie spędzając rok czy dwa lata w Berlinie. W roku 1878 jest znowu we Wrocławiu i tu w tymże roku uzyskuje dyplom doktorski.

Porównajmy tytuły podane w obydwu wzmiankach: „gazetka piwna" i „Poczwara".

Można by mniemać, że chodzi tu o dwa oddzielne czasopisma.

Istnieje jednakowóż parę przesłanek pozwalających na utożsamienie obydwu tytułów. Ks. Raczek podaje nazwę gazetki małą literą: „gazetka piwna". Jest to raczej podtytuł określający przymiotnikowo charakter pisma („Poczwary"). Obydwie notatki mówiące o istnieniu gazetki są dziwnie zgodne pod względem czasu. Ks. Raczek podaje datę: 1872. Polski Słownik Biograficzny powiada, że Bederski zamieszczający w „Poczwarze" pierwociny swojego pióra studiował we Wrocławiu od roku 1871. Jeszcze trzecia okoliczność przemawia za identyfikacją obydwu pism. Organizacje studentów Polaków nie posiadały tak wielkiej ilości członków, aby mogły pozwolić sobie na wydawanie dwu gazetek w jednym mniej więcej czasie. Jak już wspomniałem bowiem liczba człoków Towarzystwa wahała się w granicach 30 — 40 studentów.

Można by przyjąć jeszcze trzecią pośrednią hipotezę, że „Poczwara" stanowiła dalszy ciąg i uzupełnienie tytułowe „gazetki piwnej".

Ostatnie przypuszczenie posiada najmniej prawdopodobieństwa.

Jak długi był żywot „Poczwary", nie wiadomo. W każdym razie — obok wrocławskiego „Znicza", gazety, która zaczęła wychodzić w połowie XIX stulecia — stanowi ona pozycję zasługującą nie tylko na notatkę bibliograficzną.

Roman Kaleta

[1]) Ks. Raczek, Towarzystwa polskich akademików we Wrocławiu „Głosy z nad Odry" marzec, 1921 zesz. 1.

[2]) Polski słownik Biograficzny. P. A. U. t. I/5. zesz. 5, s. 394, Kraków 1934.

Biskupin

(Dokończenie ze str. 1)

razu w nastrój tego obozu, żyjącego na zasadach równości koleżeńskiej, a zespolonego pracą. Kilka baraków przypominających kształtem i brakiem jakiegokolwiek drzewka cienistego — karawanseraj wschodni — daje pomieszczenie: pracowniom, magazynom, modelarniom, kreślarniom, mieszkaniom, kuchni i świetlicy oraz gabinetowi kierownika. Zaręczam, wszystko jest bardzo obozowe i prymitywne.

Dr Rajewski oprowadza mnie po wykopaliskach. Mówi tak barwnie i sugestywnie, że wprost wyrastają przede mną na zczerniałych zrębach dębowych i kikutach słupów — chaty, wyrasta 11 równoległych ulic, ciasno przy sobie wyciągniętych, każda pod wspólnym długim dachem kryjąca szereg domów bez okien o jednym tylko wyjściu na ulicę. Po gęsto dylami wyłożonej drodze dudnią kroki ludzi, zwierząt, słychać gwar głosów, kłótnie, szczekania psów, porykiwanie bydła. 100 domów, 1000 ludzi i zwierząt odpowiednia ilość mieści się na tym skrawku, wysokim pierścieniem częstokołu mocno ściśniętym. Miasto — nie miasto, wieś — nie wieś, forteca — gród! Ale w nim stale mieszkają ludzie — rolnicy, swój inwentarz żywy w małych przedsionkach domostw przechowujący. Jeśli się zważy trudności z wyprowadzieniem bydła długim, okrężnym, a wąskim pomostem na pastwisko, kłopoty z nawozem, wyjeżdżanie tąż drogą ciężkimi wozami w pole do uprawy, nieustanne niebezpieczeństwo ognia w kurnych chatach i chorób w wilgotnym miejscu — trzeba zgodzić się, że wróg — człowiek musiał być w owych czasach również najgorszy — skoro się przed nim aż tak zabezpieczać i na takie niewygody narażać trzeba było. „Tout comme chez nous" ...

A ustrój społeczny tych ludzi? Proszę jeszcze zważyć: Dotychczas nie odkryto ani jednych zrębów, świadczących o jakiejś większej budowli, mieszkaniu wodza, siedziby władz i administracji. Jakaż równość wspaniała i przykładna tu panowała skoro wszystkie chaty wielkością i urządzeniem są jednakowe!

Obraz cały uzmysławia nam jeszcze lepiej rekonstrukcja dwóch domów i kawałka obronnego częstokołu z bramą wjazdową, do której zachowały się jeszcze przemyślne wrota, silne — a bez kawałka żelaza zbudowane. W jednej z chat jest wystawa przedmiotów używanych w tym czasie w grodzie, więc: narzędzi brązowych, trochę żelaznych, przeważnie jednak z kości i rogu jeleniego, urn i naczyń glinianych, lepionych ręcznie (przeważnie przez kobiety), prząślików i przyrządów tkackich (świadczących o wysokiej już umiejętności tkactwa), ozdób, zapinek, zabawek, amuletów i t. d., a także kości zwierząt domowych, wykazujących, że prócz kota i drobiu — znane były wówczas i chowane te same co przez nas rodzaje zwierząt. W małych, szklanych rurkach znajdują się ziarnia i szczątki roślin z tego okresu. Te znaleziska są wynikiem niesłychanie żmudnej i wprost zdumiewającej pracy. Proszę tylko pomyśleć: Znaleść ziarnko maku w ziemi! A dokonano tego, przez przesiewanie i przepłukiwanie grudek na sposób laboratoryjny. Ustalono więc, że w okresie tym znano już (i częściowo uprawiano) 240 gatunków roślin. Za pożywienie ludziom i zwierzętom służyły mniej więcej te same co nam. Zwłoki po śmierci palono, popioły zesypywano do urn i składano do grobów na cmentarzysku opodal na brzegu jeziora położonym. Te właśnie groby są charakterystyczną cechą kultury łużyckiej.

Gród biskupiński (nie wiemy jak się wówczas nazywał, książ bowiem, mimo tak rozległej kultury nie znali jeszcze) uległ zdaje się, w końcu nie przemocy wroga ludzkiego, ale mimo tak przemyślnie i potężnie budowanych falochronów — wodzie. Opuścili go mieszkańcy i dopiero o szereg pokoleń później, sprowadziła się tu znowu gromadka (już mniej liczna). Wykopaliska świadczą, że po raz trzeci zamieszkana była osada przez Polan w okresie poprzedzającym bezpośrednio czasy historyczne (około X i XI wieku). A oto po 10 stuleciach nowa osada, tym razem z baraków sklecona, a zamieszkała przez archeologów powstała na opuszczonym i zapomnianym skrawku ziemi. Osada, która bractwem i spoistością przypomina może pierwszą.

Dr Rajewski to uczony i poeta równocześnie, choć napewno o tym swoim talencie nic nie wie. Dość jednak go słuchać, dość przeczytać jego barwną broszurkę o Biskupinie, aby się przekonać ile ma temperamentu, ukochania przedmiotu i zdolności rekonstrukcyjnych — bo intuicja znaczy tu napewno tyle co matematyczne ważenia i analityczne dochodzenia. Tę pracę porównać można do nie mniej żmudnej w jednej z pracowni: składania urn i naczyń glinianych z rozbitych fragmentów. Na olbrzymich stołach leżą, rozrzucone szczerby naczyń najróżniejszych, a drobnych na parę cali i zbuduj z tego całe naczynie! Istna łamigłówka! Ale znajdują się ludzie i to dziewczęta bez wykształcenia, które tego dokonywują.

Nasza wizyta ma się ku końcowi. Profesor Kostrzewski przeprowadziwszy inspekcję wracać musi do Poznania. Na odjezdnym pytam jeszcze dra Rajewskiego, co stanie się z Biskupinem po odkopaniu całego grodu?

— Ta sprawa jeszcze nie zadecydowana. Trzeba będzie pomyśleć o zakonserwowaniu obecnego materiału drzewnego. Zrobić to można środkami chemicznymi, albo przez ponowne zatopienie. W każdym bądź razie zabytku tego Instytut Badania Starożytności Słowiańskich nie wypuści z opieki.

Deszcz przestał padać. W pogodny wieczór odjeżdżamy, żegnając ludzi, którym było dane otworzyć okno na najdalszą zamierzchłą przeszłość i podchwycić z niej rzeczy zdumiewające, a które zdawały się być umarłe. Czyż wobec tego umiera cokolwiek na ziemi?

Amelia Łączyńska.



Ślady wyraźne częstokołu — skrzynie z belek układane, wypełnione piaskiem na zewnątrz wylepione gliną.



Z lotu ptaka: zręby i podłogi dwóch najlepiej zachowanych chat z paleniskami — widoczne komory sypialne, przedsionki i ulica z dyli układana.

Wydawnictwo obowiązku

Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu obchodziło dwulecie swej działalności. Rzadko któremu wydawnictwu w Polsce Odrodzonej należy się tyle dobrych słów podziękowania za dotychczasową, jakże krótką przecież w czasie pracę, jak Wydawnictwu Zachodniemu. Powstało z inicjatywy grupy młodych dziennikarzy i publicystów poznańskich. Postawiło sobie dwa cele, po pierwsze służyć sprawie Ziem Odzyskanych, po drugie informować opinię polską w szeregu źródłowych wydawnictw o nowych powojennych Niemczech. W trzecim nowym roku istnienia Wydawnictwo Zachodnie rozszerza zakres swej działalności o książkę dla ludności Ziem Odzyskanych, w pierwszym rzędzie o książkę rozrywkową, przy czym i tu stara się podciągnąć swój plan wydawniczy pod pewien ogólny obowiązek społeczny, zamierzając wydać całą serię przekładów z literatury czeskiej.

Dorobek Wydawnictwa Zachodniego uwzględnia całą prawie bogatą tematykę Ziem Odzyskanych, mamy więc powieść o obronie Katowic (Gołby „Wieża spadochronowa"), cykl świetnych reportaży Stefana Sulimy o Mazurach i Warmii, popularną geografię nadodrzańską Czekańskiej, wiersze o Odrze (Goliński - Fenikowski) i o Wrocławiu (Sztaudynger), bogatą, wspaniałą, wciąż jeszcze jedyną geografię historyczną miast Ziem Odzyskanych pióra Wł. J. Grabskiego, impresje o morzu prof. Romana Pollaka („Uroda morza"), historyczne reportaże Zbyszka Bednorza („Śląsk wierny Ojczyźnie"), książki z dziejów Poznania („Doktór Marcin" i rzecz o powstaniu wielkopolskim), Śląska (Kokota dzieje gospodarcze Śląska) z dziejów floty polskiej, dzieje drugiej wojny światowej (Supińskiego) — jednym słowem obraz szeroki, tematyka bogata, która w zakresie nowych naszych tematów zajmuje miejsce najważniejsze. Z tych też względów książki Wydawnictwa Zachodniego powinny znaleźć się w każdej bibliotece, stanowią one bowiem już teraz bogatą, popularną przeważnie, choć opracowaną przez wybitnych znawców przedmiotu encyklopedię historyczną i współczesną Ziem Odzyskanych.

Na szczególną uwagę zasługuje seria książek niemcoznawczych, otwarta przez pierwszą chyba polską książkę powojenną z tego zakresu „Niemcy rozgromione?". Ostatnia książka z tego zakresu to „Analogie rewizjonizmu niemieckiego", pomimo zastrzeżeń niektórych recenzentów książka prawdziwa i potrzebna. W druku znajduje się Wilhelma Szewczyka „Literatura niemiecka po wojnie", której rękopis niestety przechodził zbyt długie i nie bardzo potrzebne perypetie. Tomiki z cyklu „Niemcy o sobie" lub „Miasta niemieckie dzisiaj" ukazywały prawdziwe oblicze Niemiec powojennych w oparciu o źródła niemieckie.

Wydawnictwo Zachodnie jest wydawnictwem niesubwencjonowanym. Obfity dwuletni plon wydawnictw stanowi jego własne osiągnięcie. Dodajmy do tego, że wszystkie jego książki ukazują się w szczególnie starannej oprawie graficznej. większość książek posiada ilustracje, niejednokrotnie dwubarwne a nad całością czuwają znakomici graficy. Komplet wydawnictw tych stanowi najmilszy podarunek dla tych wszystkich, którzy interesują się zagadnieniami Ziem Odzyskanych, którzy pragną dowiedzieć się, co się właściwie dzieje po wojnie w Niemczech. Spodziewamy się, że Wydawnictwo Zachodnie umożliwi nabycie kompletu wydanych przez siebie książek po cenie zniżonej. Akcja taka niewątpliwie przyczyniłaby się do spopularyzowania tych cennych wydawnictw, których obecność w każdej bibliotece jest konieczna.

Kora.

Wśród czasopism

Czechosłowacja żyje od kilku miesięcy pod znakiem wielkich wydarzeń. Z jednej strony zapoczątkowany w lutym proces przemian wewnętrznych, którego najświeższym ogniwem był wybór na prezydenta Republiki, Klementa Gottwalda, z drugiej — nieustanne pasmo wielkich wydarzeń prestiżowych i uroczystości, które sprawiają, że od kwietnia trwa tam już olbrzymi napływ cudzoziemców, który zakończy się dopiero jesienią. Powiedzmy od razu, że Czechosłowacja umiała sobie ten napływ zorganizować. Wielki festiwal muzyczny pod nazwą „Praska wiosna", Słowiańska Wystawa Rolnicza, uroczystości stulecia Wiosny Ludów z wielką wystawą w Kromierzyżu, obrazującą wiek dziejów narodów czeskiego i słowackiego, olbrzymi zlot Sokolstwa, międzynarodowa konferencja teatralna w Pradze, międzynarodowy festiwal w Karlovych Varach, Międzynarodowa Wystawa Radiowa — oto najważniejsze punkty wielkiego programu na rok 1948, programu, który przyciąga dosłownie miliony obywateli i wielkie tłumy cudzoziemców. Nie ulega wątpliwości, że propagandowy efekt tego programu będzie olbrzymi, że wszystko to opłaci się państwu sowicie pod każdym względem.

Siłą rzeczy i Polska została wciągnięta w ten nurt wielomiesięcznych pielgrzymek, których celem ostatecznym jest zawsze złota Praga, do której w tym wypadku też wszystkie drogi prowadzą, jak niegdyś do Rzymu. Nareszcie prócz drużyn sportowych zaczęli wyjeż- [illegible]

dując pięknej zasadzie, że spiritus fiat ubi vult.

Tyle ogólnie, teraz kolej na szczegóły. Więc uparty K. A. Jaworski nie pozwala zemrzeć swojej *Kamenie*. Ciągnie dziewiąty rok wydawnictwa i ostatnio wydał właśnie numer potrójny za luty — kwiecień, poświęcając go w całości współczesnej literaturze czeskiej. W ten sposób w blisko osiemdziesięciozeszytowej serii *Kameny* są już zeszyty specjalne — słowacki (z r. 1937) i czeski. Ten ostatni poświęcił swoim praskim i berneńskim przyjaciołom w podzięce za niezapomniane chwile, które spędził w ich gronie. Sam jest nie tylko redaktorem tego numeru, lecz i zarazem tłumaczem wszystkich w nim zawartych utworów. Pochodzą one od 21 autorów, wśród których olbrzymią przewagę mają poeci. Prozę artystyczną reprezentują tylko Wiktor Dyk, Karol Czapek, Jerzy Weil i Józef Strnadel, natomiast Jerzy Wolker wystąpił w tym zbiorze nie tylko jako poeta, lecz również jako autor „sztuki w jednym akcie". K. A. J. sam zdaje sobie sprawę, że wybór, jakiego dokonał, nie stwarza obrazu współczesnej poezji czeskiej, że jest w nim sporo luk. Jak z końcowej noty wynika, jest to raczej fragment jego większej pracy jako tłumacza, którą będzie antologia współczesnych poetów czeskich. Olbrzymia rozpiętość postaw poetyckich, stylów i rodzajów stawia przed samotnym tłumaczem trudne zadanie. Miejmy nadzieję, że Jaworski przebrnie przez nie pomyślnie. Zresztą któż mógłby mu jeszcze dopomóc? Może jeden, może dwóch ludzi w Polsce, którzy dzielą z nim żywe i twórcze zainteresowanie dla poezji czeskiej. Ten specjalny numer *Kameny* uważać trzeba nie tyle za pozycję samoistną, ile raczej za dopełnienie tej wielkiej pracy tłumacza poezji czeskiej, jakiej dokonał Jaworski w ciągu dziewięciu lat istnienia swego pisma. Poza omawianym zeszytem *Kameny*, jeden z ostatnich numerów *Odrodzenia* przyniósł jeszcze w przekładzie Jaworskiego wiersze Dyka, Halasa i Seiferta.

Wojciech Natanson po powrocie z Czechosłowacji wygłosił w radio i wydrukował w *Nowinach Literackich* obszerny, felietonowo ujęty reportaż „Praga wiosną 1948 r.". Reportaż ten to jakby „ogród nieplewiony", w którym autor nasadził mnóstwo wszelakich wiadomości i ciekawostek aż do anegdot włącznie. Ale że zrobił to ze znajomością rzeczy, z umiarem i celowo, rzecz wyszła bardzo sympatycznie i daje interesujący, barwny obraz życia kulturalnego stolicy Czechosłowacji. Natanson zapowiada jeszcze wolne omówienie życia teatralnego Pragi, a w ostatnim zeszycie *Listów z teatru* daje bogaty materiał ilustracyjny z teatrów praskich.

Jan Aleksander Król, który bawił w Czechosłowacji z większą grupą wycieczkową, złożoną z ludzi interesujących się przede wszystkim wystawą rolniczą i życiem wsi czeskiej z zakresu tych właśnie tematów dał doskonały i równie jak Natanson obszerny reportaż w tygodniku *Wieś*.

Oto pokrótce przedstawiony bilans trzech tylko podróży literackich do Czechosłowacji w ostatnich miesiącach. Myślę, że powinien on stanowić zachętę do częstszego niż dotychczas wysyłania ludzi pióra w odwiedziny do Czechów i Słowaków. Bo to i znacznie mniej kosztuje i pożytek większy. A poza tym Czesi i Słowacy jeżdżą do nas częściej niż my do nich i coraz częściej o nas piszą. W ciągu pół roku znalazłem sporą garść interesujących poloników czeskich w samej tylko prasie, poczynając od miesięczników literackich „Kytice" i „Kriticky miesicznik" a skończywszy na dziennikach i ilustrowanych magazynach, jak „Sviet v obrazech" czy „Halo", gdzie w ostatnich tygodniach ulubionym tematem stał się Bałtyk. W Czechosłowacji bardzo sobie cenią wszystko, co się o nich w Polsce pisze. Wszystkie ważniejsze artykuły o Czechosłowacji drukowane w prasie polskiej są skrzętnie odnotowywane w rubrykach kronik kulturalnych. A „Kulturni politika" w odpowiedzi na analogiczną ankietę tygodnika „Świat i Polska" ogłosiła niedawno ankietę wśród swoich czytelników na temat organizacji i zacieśnienia współpracy z Polską. (ki)

Śląskie laboratoria polskości

Zadaniem nowocześnie pojętej pedagogii jest wyśledzanie faktycznych zainteresowań, potrzeb, dążeń, jak i pewnych innych cech danego środowiska społecznego tak, by na tych właściwościach, jako na niezawodnych fundamentach, rozwijać dopiero misterną [illegible]

ale — co najważniejsze w wychowaniu — i w sensie *społecznym!*

W konsekwencji tego napływ młodzieży opolskiej do wspomnianych uniwersytetów (na 5-ciomiesięczny kurs) jest zawsze bardzo liczny i przerasta stąd wielokrotnie możliwości umieszczenia wszyst- [illegible]

ści polskiego języka literackiego (bo użycie gwary śląskiej jest powszechne), czy choćby tylko przyjętego w całej Polsce niegwarowego, poprawnego języka potocznego tak w mowie, jak i — przede wszystkim — w piśmie! Znajomość bowiem ogólnie używanego w pań- [illegible]

Zainteresowania te wypływają z ostatnich, historycznych przejść Opolszczyzny. Przy tym podkreślić jeszcze należy, iż ze względu na ograniczoną działalność tutejszych, polskich placówek w latach niewoli, znaczna część młodzieży opolskiej z zagadnieniami polsko-nie- [illegible]

[illegible] oświatowo-wychowawcze. Stąd też śmiało rzec można, iż zakłady te ulokowane są na Śląsku Opolskim nie tylko w sensie geograficznym, [illegible] nów nawet wybitnych Polaków na Opolszczyźnie. Jedną z głównych tego przyczyn, to zaniedbania dziejowe niewoli — bo brak znajomo- [illegible] ski, którą w jej oczach jeszcze do niadawna zohydzali stale i nienawistnie ją do niej nastawiali hitlerowscy ciemiężcy.

Liczne doświadczenia wykazują, że dla młodzieży autochtonicznej szerokich mas ludowych Ziem Odzyskanych (Śląsk Opolski, Warmia, Mazury) Uniwersytety Ludowe, — ze swymi odrębnymi metodami nauczania, specyficzną atmosferą współżycia, wykorzystywaniem, jako niczym niezastąpionego środka wychowawczego, wycieczek krajoznawczo-naukowych po Polsce oraz z troskliwą opieką nad swymi absolwentami, — stają się one, po wielowiekowej niewoli tych ziem, najlepszą drogą powrotu na łono swego narodu! Stąd też słusznie uniwersytety ludowe na Ziemiach Odzyskanych ochrzczono zaszczytnym mianem laboratoriów polskości.

W rodzinnym, serdecznym nastroju tych zakładów następują często istne nawrócenia. Tutaj bowiem — podobnie jak to ongiś miało miejsce ze znanym działaczem śląskim Karolem Miarką, i to dopiero w jego 30-tym roku życia — ludzie często odkrywają samych siebie i przekonują się, iż są faktycznie Polakami...

Wielkim zadaniem dziejowym Polski współczesnej, to między innymi jak najpełniejsze i jak najszybsze zespalanie Ziem Odzyskanych z resztą Polski. Stwierdzić trzeba, że w służbę tej doniosłej misji historycznej Uniwersytety Ludowe na Ziemiach Zachodnich oddały się w całej pełni już od zarania swego istnienia...

Władysław Demkow

„Słomkowy kapelusz" w Katowicach

Państwowy Teatr w Katowicach stać było na to, by w realizacji „komedii ze śpiewami i tańcami", jak określono tu „Słomkowy kapelusz", przewyższyć prywatny teatrzyk warszawski Juliana Tuwima bogactwem dekoracji i kostiumów, baletem, pompą i szykiem. I rzeczywiście przewyższył. Ale tylko bogactwem. Bo smak tej wyższości uratował tylko projektodawca strony dekoracyjnej, Zenobiusz Strzelecki, którego nazwisko ujrzeliśmy na katowickim afiszu po raz pierwszy, ale który wysoce artystycznymi projektami wnętrz dobrze zapisał się w pamięci widzów, którzy chętnie zapomną mu niedociągnięcia kostiumowe. Z pozostałymi elementami tego kolejdoskopowego, pełnego barw i ruchu (przez cztery akty większość osób ugania się po Paryżu kawalkadą dorożek) było gorzej. Chodzi i przede wszystkim o stronę aktorską i reżyserską oraz o tak ważną tu stronę muzyczną. Te stanęły zdecydowanie niżej od warszawskiego widowiska Stanisławy Perzanowskiej.

Tuwim ze starej, zramolałej komedii Eugeniusza Labiche'a, liczącej sobie już lat bez mała sto, zrobił świetną i dowcipną zabawkę sceniczną. Rzecz leży w tym, że Tuwim jest zawsze w takich przeróbkach artystą, że ma niezawodny smak i dowcip wysokiej klasy. Wystarczy dobrze przysłuchać się dialogowi i piosenkom. Widz polski bez trudu odkrywa w nich to, co jest wkładem i sukcesem polskiego współautora komedii, jednego z mistrzów polskiego kabaretu literackiego. Ze względu na duże walory rozrywkowe nowej przeróbki Tuwima, ze względu na jej po prostu artystyczny poziom i szlachetny gatunek humoru, jaki reprezentuje, „Słomkowy kapelusz" nie może być poczytany za ujmę nawet tak poważnemu teatrowi, jak państwowy w Katowicach. Warunek jeden: byle ją z umiarem i dobrze wystawił.

Reżyser katowickiego spektaklu, dyr. Władysław Krasnowiecki, zdawał sobie niezawodnie sprawę, że aktorsko trudno mu będzie tym przedstawieniem błysnąć, że tu może leżeć najsłabszy punkt realizacji. Dlatego rozbudował pomysły reżyserskie, stronę dekoracyjną, nie żałował baletu i materiału na kostiumy kobiece, przy czym brakło mu jednak rozmachu i hojności przy kostiumach mężczyzn. Niewiele to jednak pomogło. Świetnie pomyślane dekoracje zostały w wielu szczegółach źle i niestarannie wykonane, a zupełnie zawiodła ich strona ściśle techniczna. Tak nieudolnego funkcjonowania maszynerii teatralnej, jakie oglądaliśmy na premierze „Kapelusza", nie widziałem jeszcze w zawodowym teatrze. Ponieważ w tym wypadku zewnętrzna efektowność widowiska należy do jego głównych składników, całość ucierpiała bardzo poważnie. Dobry i miły pomysł z portretami powtarzał się zbyt często i niepotrzebnie, przez co stał się retardacyjnym momentem widowiska. Za dużo też było wstawek baletowych, które poza tym nie zawsze były w najlepszym guście. Całość więc była bardzo roztańczona a brakło jej zarazem niezbędnego tempa, które dyktuje tok akcji i które pozwalałoby widzowi bawić się bez przerwy a nie pozwalało mu myśleć, bo wydarzenia i sytuacje są bardzo nomysłowe, ale zastanawiać się nad nimi nie należy. Nie wytrzymują żadnej ze strony widza refleksji.

Aktorsko przedstawienie zadowolić nie mogło. Honor ratował jeszcze chociaż z pewną przesadą w geście p. Stanisław Winczewski w roli, która stawia duże wymagania i eksploatuje aktora wyjątkowo silnie, oraz panie Magda Radłowska i Janina Jabłonowska w doskonałych epizodach drugiego i trzeciego aktu. Reszta zespołu zaprezentowała się blado, a role Bibona i Taverniera to najsłabsze jego punkty. Większość dalszoplanowych postaci schodziła ze sceny nie pozostawiając po sobie nawet wspomnienia. Nie znać było na nich ani koncepcji reżysera, ani samego aktora, dialog ich gubił subtelności tuwimowskiego dowcipu, piosenki traciły go również wraz z wdziękiem. Ta ostatnia sprawa łączy się zresztą z ogólnie tandetną stroną muzyczną realizacji, w czym nie małą zasługę (nie po raz pierwszy zresztą) ma orkiestra.

„Słomkowy kapelusz" będzie zapewne bawił jeszcze katowickich widzów we wrześniu. Życzymy mu powodzenia i życzymy, by dotarł do najszerszych rzesz widzów niosąc im prawdziwie beztroską, doskonałą rozrywkę. Ale w całym przedstawieniu dużo jeszcze trzeba będzie zmienić, jeśli lekkość tej pozycji repertuarowej ma równoważyć artyzm wykonania. Bo porównanie „Słomkowego kapelusza" u Tuwima z katowickim znów potwierdza obowiązującą i w teatrze zasadę, że pieniądze to nie wszystko.

Zdzisław Hierowski.

Korespondencja

Konspiracyjna działalność

[illegible]

Ostrzeżenie w sprawie organizacji

[illegible]

Cieszyński jubileusz

W dniu 22 maja br. Cieszyn i Ziemia Cieszyńska uczciły swego zasłużonego historyka i wychowawcę wielu pokoleń inteligencji polskiej na Śląsku — dyr. FRANCISZKA POPIÓŁKA. Uroczystość ta, urządzona z okazji 80-lecia urodzin dyr. Popiółka i 45-lecia Jego pracy naukowej przybrała niezwykłe rozmiary. Do Cieszyna zjechały w tym dniu władze Uniwersytetu Jagiellońskiego, by w przepełnionej sali teatru miejscowego promować Jubilata na doktora honoris causa Uniw. Jag. Gośćmi Cieszyna byli: rektor UJ prof. dr Franciszek Walter, dziekan Wydziału Humanitarnego, prof. dr Zenon Klemensiewicz, promotor prof. dr Jan Dąbrowski i prezes Polskiej Akademii Umiejętności prof. dr Kazimierz Nitsch. „Praca naukowa — mówił dziekan Klemensiewicz — z natury swojej jest cicha, bez rozgłosu i poklasku. Ale dobrze jest, aby przy nadarzającej się sposobności także i ją wydobyć na światło, uczynić przedmiotem powszechnej uwagi i uznania. Otóż zaprawdę trudno o lepszą ku temu sposobność, jak nawiązując do Pańskiej, Panie Dyrektorze, działalności naukowej. Przez długie dziesiątki lat rozwija ją Pan niejako na marginesie swojej jakże owocnej pracy społecznej. Chwile które mogłeś Pan oddać zasłużonemu i potrzebnemu wytchnieniu, poświęcasz badaniom naukowym. To jest najwyższego podziwu i szacunku godny wyścig pracy, to jest przepiękny przykład pracy nad normę. Dlatego przybyliśmy tutaj, aby uczcić nie tylko wyniki Pańskiej twórczości naukowej, ale też ten zapał, wytrwałość, wierność w dążeniu do ich zdobycia."

Nowa polichromia najstarszego kościoła w Częstochowie

Nie łatwym zadaniem jest malowanie zabytkowego kościoła. Przed artystą staje zasadniczy dylemat: czy dekorować wnętrze „pod styl" zabytku z zachowaniem wszelkich stylowych rekwizytów, czy tworzyć dzieło nowoczesne. Pierwsze rozwiązanie grozi stworzeniem bezdusznej kopii, bo wskrzeszać obce nam dzisiaj i przebrzmiałe formy — to odbierać dziełu jego artystyczny sens: szczerość i bezpośredniość wyrazu. W wypadku drugim zachodzi obawa zbyt jaskrawej dysharmonii z całością wnętrza. Rozwiązanie takiego problemu w praktyce wymaga głębokiej kultury artystycznej, by zadość uczynić obydwum wymaganiom artystycznym: wybierając szczerą i bezpośrednią formę nowoczesną jednocześnie związać ją z istniejącym stylem architektonicznej oprawy i wystroju.

Przed podobnym zagadnieniem stanąć musiał artysta malarz Jerzy Ostrowski, twórca i wykonawca projektu nowej polichromii częstochowskiego kościoła św. Zygmunta. Kościół św. Zygmunta to najstarszy w Częstochowie zabytek architektury, jakkolwiek przeróbki wieków późniejszych zmieniły jego pierwotne oblicze. Zbudowany zapewne w XV w. na miejscu drewnianego, z czasu pierwszej budowy zachował cały trzon z gotycką konstrukcją dachu. Trzon ten stanowi dzisiaj nawę główną z niższym wydłużonym prezbiterium opiętym szkarpami. Gotyckie również kryte przejście arkadowe do dawnego klasztoru Paulinów. Natomiast barokowe są nawy główne dobudowane w 1783 z włączeniem kaplic bocznych założonych w 1640 i barokowy fronton. Z czasów ówczesnej rozbudowy pochodzą też późnobarokowe ołtarze już klasycyzujące. Obecny charakter kościoła w ogólnym wyrazie jest niewątpliwie barokowy. Do tego stylu dostosowano też charakter nowej polichromii.

W czasie ostatniej okupacji niemieckiej kościół św. Zygmunta służył Niemcom jako skład broni i amunicji. Po ostatecznym otwarciu go dla wiernych i częściowym odnowieniu wnętrze kościoła świeciło pustką: rzadko rozmieszczone ołtarze nie wypełniały optycznie wnętrza i przykro odbijały od pobielonej ściany. Dlatego z całym uznaniem przyjąć należy inicjatywę proboszcza tego kościoła ks. prałata Mireckiego który polecił ozdobić wnętrze odpowiednią polichromią. Pomalowana już została nawa główna i prezbiterium. Obecnie wchodzącego wita wnętrze kościoła przyjemną harmonią całości: ołtarzy, ścian i architektonicznej oprawy. Polichromia pokrywa ściany i sklepienia. Poszczególne kompozycje figuralne o tematach z pisma św. w prezbiterium przypominają rozwieszone dywany, w nawie wypełniają kompartymenty sklepienia na przemian z geometryczną dekoracją. Na ogół przeważa nowoczesne ujęcie kompozycji zwłaszcza w układzie plam barwnych, wprowadzono jednak dużo szczegółów barokowo rokokowych, może zbyt dużo. Widoczne są pewne różnice między malarskim rozwiązaniem nawy i prezbiterium. Zwarta i czytelna kompozycja barwna w nawie głównej wypełnia dobrze mocne sklepienie kościoła, podzielone szerokimi gurtami a zasadniczy ton brązowy znakomicie wiąże się z kolorem ołtarzy. Malowidła prezbiterium są może zbyt wiotkie i miękkie i może zbyt różowe, choć ogólny ton jaśniejszy optycznie jest usprawiedliwiony intensywnym oświetleniem tej partii wnętrza.

Prezbiterium malowane było najwcześniej, a łatwo zrozumieć że metamorfoza papierowego projektu w żywą, konkretną polichromię na murze w pierwszym stadium musi onieśmielać. Nieco później artysta nabiera potrzebnego rozpędu. W polichromii nawy głównej znać już całkowitą swobodę twórczą oczywiście z korzyścią dla ogólnego wrażenia. Niekiedy artysta zdobywa się tu nawet na improwizację malarską, odbiega od projektu w razie nasuwających się pomysłów artystycznych do stosowuje się do światła lub przypadkowych krzywizn o które w zabytkowym kościele nie trudno.

W wykonaniu projektu Jerzemu Ostrowskiemu pomagał artysta malarz W. Muzyka z Krakowa i jego indywidualność znać w całości. Szczegóły wykańczali zgodnie z projektem uczniowie częstochowskiej Szkoły Sztuk Pięknych: Soboniak i Olszewski.

Malowidła wykonano al secco. Jest to technika, w której zaprawa łączy w sobie zarówno czynnik organiczny jak nieorganiczny, mianowicie wapno z mlekiem. W ten sposób powstaje rodzaj cementu, którego niezmiernie cieńka warstwa nie zakleja por, pozwalając ścianie oddychać. Techniką al secco maluje się cienko, niemal akwarelowo z pozostawieniem pustych miejsc białych.

Helena Ciszewska Hohensee



Widok Żar

Encyklopedia „Odry"

Wędrówka żarska

Ziemie Dolnego Śląska nad Nysą stanowią teren mało jeszcze zbadany przez polskich historyków. Niemcy napisali już całe tomy rozpraw z dziedziny historii tych ziem, pomijając oczywiście te wszystkie szczegóły, które mogłyby świadczyć o wpływach polskich, czy słowiańskim zaludnieniu terenów nadodrzańskich i nad Nysą w przeszłości. Tym bardziej naglącym dla specjalistów obowiązkiem jest wydobycie z zapomnienia i „przemilczenia" danych tyczących elementu słowiańskiego (łużyckiego, śląskiego) w dziejach naszego pogranicza. A właśnie jednym z takich ciekawych terenów jest powiat żarski.

W roku 1945 po ustaleniu granicy na Nysie, nowy polski podział administracyjny zachował przyznaną nam większą część powiatu żarskiego w dawnych granicach od północy (od gubińskiego, dziś przyłączonego do ziemi lubuskiej) — i od wschodu (pow. żagański), natomiast od południa przyłączono doń resztę dawnego pow. rozbarskiego. Cały ten teren przedstawia ciekawe pole badań wpierw dla **prehistoryków**, ze względu na liczne ślady dawnych grodzisk i okopów serbskich, niestety zniszczonych w ciągu XVIII i XIX w. z okazji prac ziemnych, inwestycyj przemysłowych, zakładania kolei itp. N. p. w **Złotniku** (Reinswalde) zniszczono ok. 1870 r. ciekawą budowlę z kamienia z doby wczesno-hist., niewątpliwie słowiańskiego pochodzenia. Grodziska i okopy serbskie występują w miejscach, gdzie na polanach wśród ogromnej puszczy leśnej (szczególnie gęstej na pograniczu śląsko-łużyckim) tworzyły się tereny prastarego zasiedlenia, dwie wczesnohistoryczne żupy serbskie: **Zarowe** (Sarowe) i żupa **Słupian** (Selpuli), ta ostatnia pomiędzy rzekami Nysą a Lubicą. Nieliczne drogi wśród puszczy wiodły do przepraw przez rzeki i dalej na zachód ku żupom Lusizi (Łużyce, późn. część centralna Dolnych Łużyc) i Cerwisti aż pod Magdeburg. Na interesującym nas terenie istniała przeprawa koło **Przewozu** na co wskazuje nazwa miejscowości i nazwa wsi na drugim brzegu Nysy: Podrosche = Podroże. Przez te dwie żupy szły **wyprawy Bolesława Chrobrego** na Łużyce aż pod Magdeburg: w r. 1007, zajęli Polacy te ziemie korzystając ze słabego obsadzenia załogami niemieckimi. Podbój bowiem niemiecki z połowy X w. nie wiadomo, jak daleko sięgnął, polegał zaś na pozostawieniu niewielu załóg w gródkach „bez możności wykonywania pełnej władzy nad ludnością serbską, słowiańską. Być może wojska polskie wyrzuciły te załogi już w 1005 r. Odtąd po 1032 r. utrzymuje się panowanie polskie.

Cóż się działo na tych ziemiach po 1032 r.? O ile Milsko i Łużyce stały się prawie na 200 lat przedmiotem walk i podziałów pomiędzy Czechami, margrabiami miśnieńskimi, łużyckimi, Wettynami, Brandenburgią — specjalnie losy tego odcinka pogranicza od Śląska kształtowały się odmiennie. Nawet **nauka niemiecka stwierdziła już dość dawno** (Heinrich) na podstawie zupełnego **braku dokumentów** margrabiów wschodnich i łużyckich, że potworzyły się tu **samodzielne dominia**, nie należące ani do Łużyc ani do Śląska. Jednak dzieje ekspansji książąt śląskich, w szczególności **wrocławskich** wskazują, że okresowo musieli posiadać ziemię żarską: **Henryk Brodaty** (który w 1210 r. odzyskał ziemię lubuską i marchię łużycką) i **Henryk Pobożny** — a dopiero strata tego terenu mogła nastąpić po klęsce legnickiej.

Ciekawe światło na **stosunki ludnościowe i społeczne** oraz narodowościowe w średniowieczu rzuca **regestr wsi ziemi żarskiej** z 1381 r. pozwala on poznać okolice zamieszkałe przez ludność słowiańską: w ich małych wsiach, stanowisko t. zw. „kosatów", „dziedziców", **prastarą gospodarkę bartniczą**, której formy spotykamy tu i w XVIII w., 2 „starostów" zamieszkałych we wsiach Rodstock i Syrau sprawujących władzę nad łużyckimi bartnikami. Jeszcze w XVIII w. spotykamy tu wybierane dawnym zwyczajem opłaty w miodzie, o których mówi regestr z 1381 r. Jest to jednym z licznych dowodów, jak mimo **nacisku germanizacji**, egoistycznej polityki zniemczonych właścicieli dominiów, lud słowiański przetrwał na wsi i trzymał się ziemi, miasta natomiast szybko uległy zniemczeniu.

Główne miasto i centrum późniejszego powiatu **Żary**, (zał. ok. 1260 r.) gromadziło na swym rynku sól, ryby, „waid" = barwik do sukien, wełnę, wino, bydło, skóry, tłuszcze, a handel nimi wskazuje na **ścisłą łączność ze Śląskiem**. Żary biły własną monetę. W dziejach miasta wiele szczegółów wskazuje na czasową łączność z sąsiednim śląskim **Żaganiem** np. stary szpital w Żarach wyposażał Jan, książę żagański. (przed 1831 r.) W Trzeblu ciekawą pamiątką jest „wieża głodowa" w której wedle legendy, miał umrzeć jeden z książąt żagańskich, Baltazar. Na osobne studium zasługują dzieje stosunku dominium Trzebla do księstwa żagańskiego, mianowicie **księstwo żagańskie charakterystycznym klinem sięga daleko na zachód**, przez połączenie z Trzeblem. Jeszcze **na mapach** z 1736 r. starego atlasu Śląska resztki dawnego dominium Trzebla **daleko za Nysę sięgające** są oznaczone, jako przynależne do Śląska. Ten śląski „półwysep" chronił też znacznie ludność łużycką w okresie wielowiekowego wynaradawiania. W wielu miejscowościach tego dawnego klina terytorialnego spotyka się zachowane stare zwyczaje ludowe łużyckie wskazujące na utrzymanie się tu słowiańskiego elementu. (np. okolice Mużakowa). W samych Żarach w dobie szerzenia się reformacji, powstało słynne pierwsze tłumaczenie Nowego Testamentu na dolnołużycki dokonane przez **Mikołaja Jakubicę**, dla okolicznej ludności ewangelickiego wyznania.

Okres wojny 30-letniej znaznaczył się wielkim zniszczeniem terenu, ludność zubożała i tak już od XVI w. gnębiona przymusowym wykupywaniem gruntów przez wielkich posiadaczy, co tysiące rodzin chłopskich zmieniało w nędznych chałupników, niewolniczo przykutych do pracy pańszczyźnianej. Pojawiający się od 1620 r. w tych stronach masowo **wygnańcy śląscy** (prześladowani za wiarę) przynieśli wzory chałupniczej produkcji płótna i nici.

Trwałą pamiątką łączności ziemi żarskiej z dynastią saską (od 1694 r.) rządzącą następnie w Polsce był piękny **pałacyk w Brodach**, gdzie zajeżdżał często August II. Wszechwładnie rządził wtedy na Łużycach hr. Brühl, minister Augusta II i jego następca Alojzy Fryderyk, którzy mieli dominium Barść - Brody. Odczuł też powiat żarski silnie **wojnę siedmioletnią** oraz katastrofalny **zakaz wywozu** towarów do **Polski** i łączności z księstwem głogowskim — wydany przez Fryderyka W. Wszystkie te okoliczności przyczyniały się wciąż do cofania się żywiołu łużyckiego, zanikania mowy, wskutek zaniedbań na terenie szkolnictwa i kościoła, wynikających z germanizacyjnej polityki rządu pruskiego.

Przypomnieli sobie Łużyczanie **polską mowę** w czasie wielkich przemarszów oddziałów polskich **w dobie napoleońskiej**. Wielki korpus polski maszerował różnymi drogami przez Żary, Besków i D. Łużyce, Saksonię do Francji — powrotna fala przeszła znów w dobie marszu Napoleona na Rosję. A mowa polska była im rzeczywiście **bardzo bliska**. Badania bowiem językoznawców, ta **najdalej posunięta** u nas dziedzina zainteresowania przeszłością tego pogranicza ustaliły, **że dawny dialekt** powiatów żarskiego i gubińskiego był najbardziej do polszczyzny zbliżony, a szczegół z pewnego starego druku z 1738 r. stwierdza, że w tym czasie mówił lud: „w Żarowie" i „do Żarowa", i Polak najprędzej by się w tamtym terenie porozumiał. Dalej **badania etnograficzne**, stwierdzają, że jeszcze w latach 1803, 1841, 1882 w wielu miejscowościach pow. żarskiego, koło Krosna odrzańskiego, Gubina i łuż. Mużakowa, były stare słowiańskie obrzędy i zwyczaje żniwiarskie: jak obchód ze „starą", „bicie koguta", pieśni, wieńce dożynkowe itp. Wykorzeniała to wszystko germanizacyjna polityka pruska, akcja kolonizacyjna, uprzemysłowienie terenów i sprowadzanie robotników i kolonistów niemieckich. Taką przełomową datą wielkich zmian był rok 1815, gdy przyznano Prusom znaczną część Łużyc D. z wykrojonym pow. gubińskim, dominium Żary-Trzebiel, połączonym z dawnymi dominiami Barść—Brody i niektórymi miejscowościami z Żagańskiego. Żary zostały wtedy siedzibą władz. W ciągu 100 lat stały się wielkim centrum przemysłowym. A równocześnie ucisk i germanizacja doszły do szczytu za rządów **Hitlera**, który metodami stokroć gorszymi dla mniejszości narodowej, niż wszyscy jego poprzednicy, chciał już położyć kres słowiańskiemu żywiołowi na Łużycach i Śląsku.

Przypomnieli sobie Łużyczanie i Ślązacy po raz drugi polską mowę, gdy w 1945 r. **dywizja polska**, ponosząc najcięższe straty, pojawiła się w pierwszych liniach walczących z gromioną już na wszystkich frontach przemocą niemiecką. Czyż to nie symbol? Symbol ten winien być dla nas zachętą do badania przeszłości tych ziem pogranicznych, jak widać z powyższego, bardzo krótkiego przedstawienia, wykazujących silne dążenia ku Polsce i Śląskowi i związki terytorialno-gospodarcze w dawnych wiekach.

Krystyna Pieradzka

Krótkie spięcia

Coś dla plastyków

Technika plakatów jest techniką reklamową. Plakat bowiem swym rysunkiem, kolorem, treścią oraz dopiskiem zaleca coś, czyli reklamuje, a im bardziej przekonywująco to robi, tym lepiej.

Lepiej dla samego plakatu, dla tego co plakat robił i tego co nań patrzy.

Nic więc dziwnego, że C.Z.Z.G. czyli Centralny Związek Zawodowy Górników chcąc działać jak najbardziej przekonywająco w kierunku zapobiegania wypadkom przy pracy na kopalniach, wydał m. in. pewien taki właśnie plakat ostrzegawczy.

Jak on wygląda? Wygląda jak przez okno. Artysta zastosował tu mianowicie metodę realizmu. Nawet można powiedzieć — grubego realizmu. Chodnik kopalniany jest naprzykład fajno namalowany, i gdyby nie to, że nie posiada perspektywy, wyglądałby jak żywy. W tym chodniku znajduje się dwóch górników z tzw. karbidkami. Jeden chce przejść przez rynnę transportującą węgiel, zaś drugi go od tego wstrzymuje. Że niby przy takim przekraczaniu rynny łatwo jest o wypadek. Ponieważ jednak ten pierwszy górnik właściwie kuca i trzyma tak karbidkę, iż jej płomień wyraźnie mu podpala za przeproszeniem tyłek, więc odnieść można wrażenie, że drugi górnik zwraca pierwszemu uwagę, żeby sobie nie parzył tej — jakby nie było — ważnej części ciała.

Poza tym kucający górnik ma zamknięte oczy i twarz człowieka chcącego wymiotować. Drugi ma wprawdzie oczy otwarte, ale twarz taką samą. Obaj posiadają za to na nogach lakierki.

Cóż jeszcze jest na tym plakacie? Ano jest jeszcze napis. I to napis wierszowany, bo to przecież wiersz łatwiej wbija się w pamięć. No i więc dużymi czerwonymi literami stoi tam na tym plakacie napisane jak byk:

Taśmy, rynny gdy są w ruchu
Przechodź przez pomostek Druchu.

Tak jest „Druchu", a nie druhu. Przez „ch".

Któż jest autorem tego wspaniałego plakatu? Któż jest tym

J. C. Dogiel.

Tak jest J. C. Dogiel. Nie znamy bliżej pana J. C. Dogiela i nie wiemy jakiego związku zawodowego jest on członkiem. Prawdopodobnie należy do Zw. Zawodowego Nieumiejących Pisać ani Malować. W każdym jednak razie polecamy mu na przyszłość, by wykonał tą samą techniką jeszcze kilka innych plakatów, zaopatrzonych na przykład w taki napis:

Gdy nad głową wiszą rury,
Dźwigaj często nos do gury!

Albo w taki:

Nie wałęsaj się po torze
Bo nieszczęście stac się morze!

Lub też taki:

Do windy stawaj w ogonku
Nie stracisz przy tym szaconku!

Dobrze...?

Tyle co do pana J. C. Dogiela.

Co się zaś tyczy Centralnego Związku Zawodowego Górników, to go zawiadamiamy, że od jutra Związek Zawodowy Plastyków przestaje się zajmować sztukami pięknymi, a weźmie się do kopania węgla. Może zresztą finansowo i tak lepiej na tym wyjdzie...

Bo jeśli na malowanie plakatów otrzymują zamówienia panowie J. C. Dogiele, to cóż biedni prawdziwi malarze mają robić...?

NIEJAKI X

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 13236